Numer opracowany przez działaczy PSL Kielecczyzny

CHŁOPI i PAŃSTWO

NACZELNY ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

Rok II, Nr 17 (61) Warszawa, 25 kwietnia 1948 r. Cena 5 zł

STANISŁAW JAGIEŁŁO
Poseł, Prezes Wojew. Zarządu PSL w Kielcach

Rzeczy najważniejsze

„Co u Was słychać z ruchem ludowym? Tu na wsi w janowsko - lubelskim powiecie nędza, smród i apatia. Źle jest powiadam Wam wy, ludowce różne i inne idealisty, jeśli nie pójdziecie do chłopa z wołaniem: władza i ziemia dla chłopów, władza i fabryka dla robotnika! — to i chłopa i robotnika i Was i mnie rychło faszystowska cholera weźmie. Możecie to powtórzyć i wydrukować jako motto".

Edward Szymański

(13.11.33)

Edward Szymański, młody i utalentowany poeta robotniczy, już nie żyje, zginął w czasie wojny. W swoich papierach przedwojennych znalazłem kilka listów Jego, a słowa powyższe z jednego z tych listów przytoczyłem.

Myślę, że i dziś jeszcze to rewolucyjne wezwanie poety nie straciło całej swojej aktualności.

W powodzi spraw codziennych zapominamy niejednokrotnie o rzeczach najważniejszych i najbardziej istotnych. Bardzo często sprawy drobne stają się dla nas „bólami" największymi. Takie czy inne niedociągnięcia i niedomagania, takie lub owakie błędy lub uchybienia sprawiają, że giną nam sprzed oczu problemy zasadnicze.

Co dla nas, ludowców, było wczoraj, t. zn. przed wojną i w czasie wojny problemem zasadniczym?

W zakresie zagadnień społeczno-gospodarczych tym problemem była sprawa reformy rolnej i sprawa zlikwidowania wielkiego posiadania w przemyśle. Te dwa kluczowe zagadnienia wysuwaliśmy na czoło naszych dążeń, te dwa zagadnienia w układzie sił społecznych w kraju stawiały nas po lewej stronie barykady i stawiały nas w sojuszu obok robotnika.

O tej prawdzie nam, ludowcom, ani na chwilę nie wolno zapominać. Zapominanie o tej prawdzie dziś — gdy te problemy zostały załatwione i nie są w życiu chłopa raną piekącą — może polityczną myśl naszą mylić i wprowadzić na błędną drogę.

Rzecz jasna, że te dwie wielkie reformy przeprowadzone po wojnie w Polsce nie dokonały się „same". Obie te epokowe reformy mogły zostać dokonane tak gruntownie tylko wielkim i śmiałym zrywem chłopskim i robotniczym, „zamachem rewolucyjnym", a nigdy — przez ugodę z prawicą. My już wiemy z doświadczenia, czym się skończyły „reformy legalne". Pamiętamy doskonale rok 1918. Widzimy też i dziś, że nic dotychczas nie naruszono w stanie posiadania obszarnika we Włoszech, Francji czy Niemczech zachodnich. Wszystko tam pozostało po staremu, wszystkie nędze chłopa konserwuje się w obszarniczych latyfundiach we Włoszech i Francji, chociaż decydujący wpływ na rządy mają tam niby demokraci i to chrześcijańscy...

Problem ziemiański i wielkokapitalistycznego posiadania fabrykanckiego musiał w Polsce się dokonać. Stać się tak musiało dlatego, że ani folwark obszarniczy, ani fabryka kapitalistyczna nie spełniały tych zadań, jakie na nich z obowiązku gospodarczo-państwowego i społecznego spoczywały.

Kto był w Łodzi, wielkim mieście fabrycznym, mieście setek kominów — to wie, jak Łódź wygląda. Co tam widzimy? Owszem, widzi się piękne parki, a w nich piękne pałace. Były to prywatne majętności książąt fabrykanckich. Pięknie się tam żyło. Obok przebiegają szare ulice miasta i leżą dzielnice robotnicze, co jednocześnie oznacza brud, smród i nędzę. Bo miasto nie skanalizowane. Łódź — dzięki pracującym tam fabrykom jedno z najbogatszych miast Polski — ta Łódź nie została skanalizowana.

Już za to jedno, za to, że ci panowie, książęta — fabrykanci, nie raczyli służyć miastu, z którego żyli i robili majątki — winni byli oddać fabryki narodowi, bo nie pełnili służby społecznej.

Czy lepiej było w stosunkach wiejskich? Czy ci, którzy mienili się „światłymi rolnikami" i „starszymi braćmi" chłopa, czy ci panowie zarówno pod względem gospodarczym, jak społecznym spełniali swoje zadanie rolnika i Polaka zarazem?

Pisali oni swoją historię jako klasa odpowiedzialna za rządzenie Polską i zdawali egzamin do dni ostatnich ze swych umiejętności gospodarczych i ze swej służby społecznej narodowi.

Nieszczęściem dla kraju było i do dnia dzisiejszego jest, że ten duch pańskości, wygody i nieodpowiedzialności stał się „wyższym wzorem" nawet dla warstw ludowych. Gdy cały Zachód w wieku XIX i w początkach XX szedł z rozmachem do wielkiej roboty — tworzył przemysł, podnosił rolnictwo, u nas, w Polsce, na sposób średniowieczny na szczytach społecznych żyło się po pańsku, po szlachecku, a w dołach społeczeństwa panowała ciemnota i niemoc.

Skutki tego stanu — wiadome. Na terenach najlepszych gleb w Kieleczyźnie mieliśmy najwięcej dworów, ale i najmniej dróg bitych. Taki pan w powiecie pińczowskim, buskim, czy sandomierskim ciągnął przez błota karetę o ogromnych kołach czwórką koni, ale kawałka szosy nie zbudował.

Albo te ich „czworaki"! Nie chce się wprost o tym mówić. Albo co dokonali w zakresie przemysłu rolnego? Albo co uczynili w zakresie ogólnego podniesienia kultury rolnej?

Tak oto pisała się historia i tak dokonał się wyrok nad klasą ziemiańską w Polsce.

Weszliśmy w nowy etap. Jest to etap przebudowy i odbudowy po wojnie kraju. Prace te idą dwoma szlakami: przemysłu i rolnictwa.

Gdyby wspomnieć o przemyśle, wydaje się, że tutaj na skutek pełnej jego dyspozycyjności w stosunku do zamierzeń Państwa — został nakreślony i został podjęty szeroki i z rozmachem jest wykonywany plan jego pełnej przebudowy i odbudowy. To, co dziś naszymi skromnymi siłami zostało dokonane — niewątpliwie jest osiągnięciem bardzo dużym. Ale może jeszcze ważniejsze jest to, że wszystko co się dzieje na odcinku przemysłu jest wynikiem daleko pomyślanego planu, a więc wszystkie inwestycje są zasadniczo celowe i służyć będą dalszemu jego rozrostowi.

Rzecz jasna, że chłop Polski może mieć tylko pozytywny stosunek do podjętej i usilnie popieranej odbudowy i dalszej przebudowy przemysłu. Opóźnieni, musimy dziś niejako nadrabiać to, co narody zachodnie dokonały w okresie ubiegłym. Dla nas jest rzeczą pewną, że nie stworzymy lepszych warunków bytowania dla chłopa, dla robotnika, dla narodu całego, jeśli nie stworzymy własnego przemysłu. Gdyby miało tak pozostać, jak było dotychczas — wciąż bylibyśmy tylko krajem „Europy Środkowej", t. zn. zacofania gospodarczego i biedy rolniczo-wiejskiej. Europa zachodnia i Ameryka, a po Rewolucji i Rosja Radziecka, swój wyższy poziom życia osiągnęły i osiągają przez stworzenie przemysłu.

Rolnictwo nasze w pierwszym momencie po wojnie przystąpiło do pracy — możnaby powiedzieć — systemem „łapu-capu". Nie troszczono się i nie można się było wówczas troszczyć o nadanie rolnictwu określonej struktury. Grunt, żeby rozparcelować dwory! — i to zostało dokonane. Grunt, żeby z grubsza rolniczo obsiedlić Ziemie Zachodnie! — i to zostało uczynione. I tak cały szereg innych ważnych i pilnych prac szło po tej linii.

W rezultacie rolnictwo w wymienionym trzech-leciu ma duże osiągnię-

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

PUSZCZA KRÓLEWSKA, KSIĄŻĘCA, BISKUPIA, ŚWIĘTOKRZYSKA, CHŁOPSKA MA ZOSTAĆ NA WIEKI WIEKÓW, JAKO LAS NIETYKALNY, SIEDLISKO BOŻYSZCZ STARYCH, PO KTÓRYM ŚWIĘTY JELEŃ CHODZI, — JAKO UCIECZKA ANACHORETÓW, WIELKI ODDECH ZIEMI I PIEŚŃ WIECZNOŚCI! PUSZCZA JEST NICZYJA, NIE MOJA, ANI TWOJA, ANI NASZA, JENO BOŻA, ŚWIĘTA!

Stefan Żeromski „Puszcza Jodłowa"

STANISŁAW JANICKI
członek Zarządu Woj. PSL

PSL Kielecczyzny na nowych drogach

W dniu 4 kwietnia odbyła się w Kielcach wojewódzka konferencja PSL. Przybyli na nią najaktywniejsi członkowie wszystkich Zarządów Powiatowych Stronnictwa w liczbie ponad 100, by zrobić przegląd dotychczasowych osiągnięć i postawić przed sobą nowe zadania. Aczkolwiek była to w okresie pomikołajczykowskim trzecia z rzędu konferencja, to jednak stanowi ona duże wydarzenie w życiu organizacyjnym P. S. L. Kielecczyzny. Nie dlatego, że zjechali się najczynniejsi działacze P. S. L. i że sala konferencyjna była wypełniona po brzegi, ale dlatego, że gorące jej obrady wykazały dobitnie, iż drogi odrodzonego PSL w województwie kieleckim stają się coraz twardsze, równiejsze i szersze, że maszerują nimi już nie setki, jak do niedawna, ale tysiące.

Jakże inna była atmosfera obrad pierwszych dwóch konferencyj wojewódzkich. Istniejące jeszcze wówczas trudności zdawały się być nie do pokonania, zaś wykreślane przez nas plany odbudowy Stronnictwa zdawały się nieosiągalne.

Sprawozdanie Wojewódzkiego Zarządu mówi, że dotychczasowy stan organizacyjny P. S. L., jak jego udział i rola w najważniejszych komórkach życia publicznego w powiatach województwa kieleckiego nie przedstawia się jeszcze tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, jakby dyktował interes wsi, jak tego żąda dobrze zrozumiany interes Polski Ludowej. Ale faktem jest, że w tych warunkach, jakie Stronnictwu zgotowała polityka Mikołajczyka, zakończona ucieczką z kraju — zrobiono dużo i odbyto tutaj w Kielecczyźnie wielki szmat drogi od tego, co się nazywało dawnym PSL, do tego, czym jest i co stanowi dzisiejsze odrodzone PSL. 206 Kół gromadzkich i 108 zorganizowanych gmin w województwie w tak krótkim czasie i tak ciężkich warunkach — to osiągnięcie nie małe.

Rezultatów pracy odrodzonego PSL w województwie kieleckim nie da się ująć w cyfry, ani ściśle wymierzyć. Nie to jest tutaj najważniejsze, ile PSL w tej chwili ma Kół gromadzkich, aczkolwiek to jest bardzo ważne. Najważniejsze jest to, czy ta skorupa apatii i rujnującej obojętności politycznej i negacji, jaka zapadła na uczciwych sercach i rzetelnych umysłach chłopskich na skutek mikołajczykowskiej polityki — ma tendencję dalszego pogrubiania, czy też dzięki naszej działalności pęka i kruszy się pod naporem obudzonej wiary we własną użyteczność i wykrzesanej woli twórczego udziału w wielkim procesie tworzenia w Polsce nowego, lepszego życia. Należy stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że skorupa ta coraz skuteczniej pęka i soczysta zieleń naszego chłopskiego radykalizmu, wyrastającego korzeniami z szerokiej platformy demokracji ludowej i jej najważniejszej przyciesi — sojuszu chłopsko-robotniczego — na gruzach dawnego PSL zapładnia nowe życie.

Zerwali się i otrząsnęli z przeszłościowych pleśni peeselowscy działacze chłopscy. Daje to gwarancję, że te obecne wyspy młodych i zdrowych pędów odrodzonego Stronnictwa będą się coraz szerzej rozrastać i przerodzą się w masowy zryw wsi kieleckiej do nowego i twórczego życia, do rzetelnej pracy w ramach odrodzonego PSL, w ścisłym i prawdziwym sojuszu z klasą robotniczą. Procesu tego nie mogły zahamować żadne trudności z początków pomikołajczykowskiego okresu. Największe zostały pokonane, a te, które jeszcze istnieją, będą również usunięte.

Propaganda ośrodków wrogich Polsce Ludowej, która głosiła, że wraz z ucieczką Mikołajczyka skończyło się PSL, że podejmowanie wysiłków odbudowy i odrodzenia PSL nie ma sensu i może jedynie sprowadzić represje, że chłopi PSL-owcy mają jedyną drogę, to znaczy pozostać w negacji i bierności, maskując co najwyżej swoje oblicze polityczne, dzięki rzetelnej i zdecydowanej postawie oraz intensywnej i uczciwej pracy członków Wojewódzkiego Zarządu i wszystkich Zarządów Powiatowych PSL Kielecczyzny — została na wsi kieleckiej skutecznie zahamowana. Na miejsce dawnej walki między PSL-em a innymi stronnictwami demokratycznymi przychodzi przyjazna współpraca. Na miejsce, wypływającej z tego źródła, wzajemnej nieufności i wrogiej niechęci przyszło obopólne zrozumienie i pogłębiająca się przyjaźń.

Dobitnym tego wyrazem były przemówienia powitalne goszczących na konferencji przedstawicieli PPR, SL i SD, nacechowane dużym zrozumieniem i serdeczną życzliwością dla ciężkich zmagań PSL Kielecczyzny i ich pozytywnych rezutlatów.

Drugi sekretarz Wojewódzkiego Komitetu PPR ob. Jan Tusz witając konferencję powiedział między innymi: „Podjęliście się wielkiego i ciężkiego zarazem zadania. Zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie musieliście przełamywać i jakie macie jeszcze do usunięcia. Zmagania wasze z tymi trudnościami obserwujemy z całą sympatią i życzymy wam pełnego powodzenia".

Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej ob. magister Kutrzeba witając Konferencję w imieniu Stronnictwa Ludowego wygłosił przemówienie, nacechowane gorącą serdecznością, nawołując do zacieśniania współpracy obu bratnich partii w imię wspólnych celów całego Ruchu Ludowego i życząc odrodzonemu PSL Kielecczyzny dalszego rozwoju.

Dużą również życzliwością było nacechowane przemówienie powitalne przedstawiciela Stronnictwa Demokratycznego dr. Łuczkiewicza.

Przemówienia te były przez zebranych żywiołowo oklaskiwane i z zadowoleniem przyjmowane. Codzienna praktyka życiowa te zaistniałą już przyjazną atmosferę pogłębi i na trwałą współpracę zacieśni, a ze Stronnictwem Ludowym przyniesie całkowite zjednoczenie.

Grunt pod jedność organizacyjną PSL-u z SL-em przygotować mają powołane do życia specjalne Komisje Porozumiewawcze PSL — SL, które staną się realizatorami zjednoczenia Ruchu Ludowego w Polsce.

Komisje te na terenie województwa kieleckiego zaczynają działać a odbyła w Kielcach w dniu 25 marca 1948 r. Wojewódzka Komisja Porozumiewawcza PSL — SL pozwala stwierdzić, że spełnią one swoje zadanie całkowicie.

Choć praca PSL Kielecczyzny od początku opierała się tylko na dobrowolnym i ochotniczym wysiłku działaczy, chociaż w powiatach nie ma dotąd żadnej egzekutywy w postaci stałej i systematycznej pracy instruktorów, a w kilku powiatach nie ma nawet lokalu na sekretariat powiatowy, choć działać tu będą jeszcze różne Inne hamulce i przeszkody, działacze potrafią jednak te wszystkie trudności usunąć lub zmniejszyć.

Powiedział ktoś kiedyś, że chłop kielecki jest twardy jak kwarcyt, trudno go ruszyć, ale jak w coś uwierzy to na zawsze.

Tak jest! Takimi są przede wszystkim kieleccy PSL-owcy. Nic tu nie poradzi wroga propaganda.

PSL Kielecczyzny na nowej drodze — opierające swoją linię polityczną nie od święta, ale na codzień na szerokiej platformie demokracji ludowej, PSL — rzetelnie realizujące prawdziwy sojusz chłopsko-robotniczy, PSL — rzucające śmiało z całą chłopską siłą i przekonaniem swoje siły dla budowy Polski Ludowej, dla budowy pokoju światowego, wbrew anglosaskim podżegaczom wojennym — to PSL musi poderwać w Kielecczyźnie każdą drzemiącą wieś, każdą drzemiącą chłopską chałupę.

Tak jest! Na nowych drogach kieleckiego PSL musi być i będzie coraz gwarniej i rojniej. Zwarte, wyrównane i coraz liczniejsze szeregi odrodzonego PSL idą w marszu do Polski Ludowej.

W tym wielkim marszu znikną jak piana i na zawsze przeszłościowe nawyki i nastawienia. Pękną wszystkie hamulce i rozsypią się w pył wszelkie przeszkody.

PSL Ziemi Kieleckiej w marszu tym nie powstrzyma żadna siła. Przyjaźń i rzeczywista współpraca z całą Polską Demokracją i jej reprezentacją polityczną, pogłębiona na trwałe poprzez rzetelną i uczciwą pracę, będzie go przyśpieszać i umacniać.

Dotychczasowe kępy i wyspy świeżych i zdrowych pędów organizacyjnych PSL Kielecczyzny rozrosną się szeroko i umają ożywczą zielenią całą tę piękną ziemicę, bo taki jest interes wsi, bo tak chce tutejszy chłop, a nade wszystko, bo tak nakazuje interes Polski Ludowej.

S. J.

(Dokończenie ze str. 1-ej)

cia. Nie podobna ich tutaj zliczyć i określić w miliardach złotych, jakby to można uczynić w przemyśle - mamy tu bowiem do czynienia z drobnym i rozproszonym rolnictwem chłopskim, z rolnictwem, w którym się „nie księguje", a poza tym charakter osiągnięć rolniczych niejednokrotnie jest tego rodzaju, że buchalteryjnie nie da się ich uchwycić. Do osiągnięć chłopskiego rolnictwa między innymi zaliczymy: każdy zaorany i obsiany hektar odłogów (np. na naszych przyczółkach Kielecczyzny), każdy lepiej uprawiony hektar i osiągnięty większy plon, każdy odbudowany dom, obory czy stajnie, zwiększone pogłowie inwentarza itd. itd.

Tych prac i zabiegów na tej linii, na linii odbudowy — rolnictwo ma jeszcze dużo ma przed sobą. Niszczyło się łatwo, odbudowa przychodzi trudno. Długie lata potrzebny będzie indywidualny wysiłek rolnika na swoim własnym gospodarstwie, jak też wysiłek zbiorowy — przez Związek Samopomocy Chłopskiej, spółdzielczość, samorząd, szkolnictwo rolnicze itp.

Ta praca jest jeszcze przed nami. Nie pomogą tu żadne cuda — lepsze życie możemy i musimy stworzyć własnym wysiłkiem, co dnia podejmowanym. Dziś stojąc na nowych drogach Polskiego Stronnictwa Ludowego, włączeni do tej pracy obok innych ugrupowań politycznych — niesmy wszędzie mocne przekonanie, że tylko pracą i tylko własnym wysiłkiem Naród Polski wykuje swój lepszy los.

Przestańmy się oglądać i oczekiwać, przestańmy poddawać się proroctwom propagandowym.

Fundamenty pod Polskę Ludową zostały założone. Rzeczy najważniejsze zostały zdobyte. Chłop nie opuści zajętej ziemi obszarniczej, robotnik nie popuści fabryki. Jedno i drugie służy i służyć będzie Narodowi.

St. J.

W Wierzbicy życie wre

Wielkie Zebranie PSL

W siedzibie gminy Wierzbica, powiatu radomskiego, panuje w niedzielę 11 kwietnia niezwykły ruch. Z ust do ust leci wieść o mającym się odbyć zebraniu PSL. Kawecki Stach raniutko pojechał galopem do stacji kolejowej Jastrząb po delegata z Kielc.

— „Choć śląkwa jak grzesi ale jechać musowo". Zaproszony przedstawiciel Zarządu Wojewódzkiego nie przestraszy się deszczu i przyjedzie na pewno. Kalendarz organizacyjny PSL-u realizowany być musi bez względu na pogodę. To nie żarty„ inaczej w poważnej organizacji być nie może. I równocześnie z kieleckim pociągiem stanęły w Jastrzębiu wierzbickie konie.

×

Godzina 13. We wszystkich trzech salkach gminnej świetlicy ludzi po brzegi. 200 chłopa jak uciął. W ciżbie PSL-owców widać zaproszonych gości z bratnich partii. Nagle gwar cichnie. Wiceprezes wierzbickiego Koła PSL kol. Kawecki Stanisław otwiera zebranie. Wita przedstawicieli gminnych władz PPR w osobach wójta Michałkiewicza Mariana i przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej Kobyleckiego Jana oraz przedstawicieli S. L. ob. Dziurzyńskiego Aleksandra i ob. Środę Kazimierza, podkreślając z całym przekonaniem, że obecność ich na sali jest widocznym rezultatem, zaistniałej już przyjaznej współpracy i gwarancją, że współpraca między PSL-em w Wierzbicy a innymi stronnictwami demokratycznymi będzie się poszerzać i pogłębiać. Z kolei z chłopską gorącością i serdecznością wita przedstawiciela Wojewódzkiego Zarządu PSL z Kielc kol. Janickiego Stanisława.

Kolega Kruciński Józef — sekretarz wierzbickiego PSL odczytuje protokół z poprzedniego zebrania Koła, z którego wynika, że radzono na nim nad ważkim dla wsi problemem, t. j. reorganizacją spółdzielczości i udziałem członków PSL we władzach Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Efekt tych narad, podparty życzliwością innych stronnictw, następujący: 3-ch PSL-owców w Radzie Nadzorczej i 1 w Zarządzie wymienionej spółdzielni.

Następnie kol. Janicki w dłuższym referacie szkicuje nowe drogi PSL i jego ważką rolę, jaką ma w Polsce Ludowej do wypełnienia. Argumenty trafiały na grunt przygotowany.

— Tak jest — mówiła długo po zebraniu Wierzbica. W państwie ludowym chłop nie może być w opozycji, ani gnuśnieć i pleśnieć w negacji. Wespół z klasą robotniczą i w serdecznym z nią sojuszu musi stanowić i stanowi niewzruszalną podstawę coraz piękniejszego gmachu Polski Ludowej. Kto by chciał inaczej, postępowałby jak szaleniec, przecinając własne żyły własnymi rękami. Droga odrodzonego PSL jest jedyna i słuszna, bo przewodnikiem na niej jest rzeczywisty interes Wsi i prawdziwe dobro całego Narodu.

Oto rezultat tego wielkiego w wierzbickich warunkach zebrania odrodzonego PSL. Takich zebrań trzeba więcej i jeszcze więcej!

Duża część zebranych zaprenumerowała na miejscu organ naczelny PSL „Chłopi i Państwo".

×

Wierzbica leży na skrzyżowaniu dróg Radom — Starachowice — Szydłowiec w odległości równych 8 kilometrów od stacji kolejowej Jastrząb. Łącznie z wsią Rzeczkowem liczy około 2.100 mieszkańców, żyjących na 500 gospodarstwach. Ziemia dobra. Gospodarstwa skomasowane, przeważnie 5 i 6-hektarowe. Poziom gospodarki wysoki. Przysłowiowej biedy kieleckiej tu nie widać. Pracowitość miejscowych chłopów, ich zaradność i świadome planowanie w gospodarce, biedę stąd wykurzyły.

Dumą Wierzbicy jest Ośrodek Zdrowia. Powstał on dzięki niezwykłej pracy doktora Dubińskiego Leonarda i przy dużym wkładzie miejscowego Koła „Wici". Jest to dla całej gminy na prawdę ośrodek zdrowia. Pomoc lekarską znajdują tutaj wszyscy bez wyjątku. Pieniądz nie stanowi tu żadnego sita pacjentów. Większość leczy się bezpłatnie, lub płaci według swoich możliwości. O „Ośrodku zdrowia", doktorze Dubińskim i jego prawej ręce, położnej. p. Majewskiej, w Wierzbicy mówi się z błyskiem w oku i wielkim szacunkiem.

Oprócz troskliwej opieki lekarskiej, której miliony chłopskich dzieci są pozbawione — dzieci w Wierzbicy mają pełną i na wysokim poziomie szkołę powszechną, a co najważniejsze — 50 z nich kształci się dalej. Ponadto czyni się przygotowania do uruchomienia w Wierzbicy placówki Ch. T. P. D. (Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci).

W Wierzbicy życie wre!

Sękacz

CZESŁAW PONIECKI
Wice prezes Woj. Zarządu PSL

Piękno, bieda i duże możliwości gospodarcze ziemi kieleckiej

Na starym szlaku między Krakowem a Warszawą leży województwo kieleckie. Nad całą tą piękną ziemią króluje pasmo Gór Świętokrzyskich. Ząb czasu mocno je nadgryzł, poutrącał niebotyczne szczyty i zasypał głębokie doliny, ale mimo swej starości nie straciły one uroku, są dalej piękne i bogato zdobią panoramę ziemi kieleckiej. Chłopi z pod Łysicy, czy Świętego Krzyża są swymi górami zachwyceni i z dumą śpiewają, że — „Nie masz to jak nasze Góry Świętokrzyskie!"

Lecz z piękna wsi kieleckiej nie tryska radość, wieje jakaś zaduma i smętek. Stefan Żeromski o swej ziemi rodzinnej tak pisał:

„W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które sączy się podskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach-smętniskach, gdzie się „korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje" — hoduje się dola bandosa".

Biedę na wsi kieleckiej pogłębiły jeszcze działania wojenne. Wojna zmiotła z powierzchni ziemi całe wsie i osiedla ludzkie, zniszczyła 118.639 budynków mieszkalnych i gospodarczych. Najżyźniejsze ziemie nadwiślańskie zamieniły się w dzikie stepy, na pszennych polach wyrósł las chwastów. Trzeba było na prawdę chłopskiego uporu i nadludzkiej wytrzymałości, by na cmentarzysku kieleckiego przyczółka się ostać, by z bunkrów i ziemianek wydobyć się na powierzchnię ziemi, by usunąć miny, obsiać pola i na nowo poczuć się chłopem.

Zniszczona wojną wieś kielecka ma jeszcze wiele braków i potrzeb. Jeszcze nie wszyscy wyszli z bunkrów i ziemianek. Ale przecież zrobiono już sporo. Przy wspólnym wysiłku chłopów i Państwa wybudowano 60 tysięcy budynków mieszkalnych i gospodarczych, rozminowano pola i zlikwidowano ugory. Najgorszy okres jest już poza nami, a przyszłość rysuje się jaśniej.

Prócz chleba, Kielecczyzna ma jeszcze wiele bogactw do tej pory niewykorzystanych — tkwią one w ziemi. Trzeba ją rozkopać i wydobyć z jej łona cenny piryt, fosforyt, miedź, ołów, gips i t. p. Trzeba prześwidrować twardą skorupę aż do źródeł nafty i pokładów węgla. To są największe bogactwa ziemi kieleckiej. Dobrze się stało, że obecny wojewoda kielecki ob. Wiślicz wszedł na drogę przemysłowych tradycji Staszica i chce to rolnicze województwo uprzemysłowić. W Starachowicach rozpocznie niedługo swą produkcję fabryka samochodów ciężarowych. Busko przystępuje do budowy wielkiej gipsowni, która zaspokoi potrzeby kraju. Pod Wójczą trwają gorączkowe poszukiwania nafty. Pomiędzy Starachowicami a Iłżą, oraz pomiędzy Starachowicami a Słupią, buduje się kolejki wąskotorowe.

Jest to dopiero początek tych ważnych przemian gospodarczych. W tej chwili przemysł całej Kielecczyzny zatrudnia około 60 tysięcy ludzi. Jeśli kopalniane bogactwa mają być w pełni wykorzystane i mają zatrudnić nadmiar ludności wiejskiej, oraz powiększyć ogólne bogactwo narodowe, to na „ziemi bandosów" muszą zadymić nowe kominy fabryczne i muszą ją przeciąć nowe szlaki komunikacyjne. Nie są to zadania łatwe, tym bardziej, że w państwowych planach inwestycyjnych Kielecczyzna nie jest postawiona czołowo, gdyż Centralny Okręg Przemysłowy został przeniesiony na Śląsk. Ale ze swych ambitnych planów przemysłowych Kielecczyzna nie może zrezygnować, bo byłaby ona nadal „ziemią bandosów" — ziemią nędzarzy.

Po wojnie sporo ludzi wyjechało z naszego województwa i przeciętna gęstość zaludnienia spadła ze 115 do 95 osób na 1 km², ale mimo to wieś kielecka jest nadal przeludniona. Przeciętna gęstość zaludnienia w Polsce na 1 km² wynosi 77 osób, w Poznańskim 62 osoby, a na Ziemiach Odzyskanych waha się od 10 do 53 osób. We Francji i Danii na jedną osobę zamieszkującą na wsi przypada przeciętnie około 2½ ha ziemi uprawnej, a w Kielecczyźnie zaledwie 0.69 ha.

Składały się na to wieki. Ten anormalny stan jest wynikiem polityki szlacheckiej i naszych zaborców. Żaden naród mający możność kierowania swymi losami i swą gospodarką narodową nie dopuściłby do tak katastrofalnego przeludnienia wsi. Ogółem województwo kieleckie ma 1 milion 707 tysięcy mieszkańców, z tego na wsi mieszka i żyje z rolnictwa 1 milion 353 tysiące ludzi.

Trzeba mieć świadomość, że zanim Kielecczyzna zmieni dotychczasowe oblicze gospodarcze i upodobni się do Śląska, upłynie sporo czasu. Dalekosiężne i śmiałe plany przemysłowe nie mogą nam zasłonić obecnych potrzeb i zadań krótko fazowych.

W ubiegłym roku Państwowy Urząd Repatriacyjny zapowiadał, że w ciągu najbliższych trzech lat przesiedli się jeszcze z Kielecczyzny na Ziemie Odzyskane około 250 tysięcy ludzi. Trzeba zrobić wszystko, by plan ten został w pełni zrealizowany.

Ciągle rozrastający się przemysł węglowy na Śląsku poszukuje nowych sił roboczych. Młodzi i zdrowi chłopcy, dla których w Kielecczyźnie nie starczy ojcowskiego zagonu, tam powinni szukać kawałka chleba. Powstający w Kielcach wielki ośrodek szkół zawodowych ułatwi młodzieży wiejskiej zdobycie zawodu i umożliwi jej przejście z rolnictwa do rzemiosła.

Szkoły zawodowe i spółdzielcze muszą przygotować nowe kadry rzemieślniczo-instruktorskie, któreby na wsi stworzyły i poprowadziły chałupnicze spółdzielnie pracy. Spółdzielczość wiejska szła bowiem do tej pory po linii najmniejszego oporu i stworzyła jedynie placówki handlowe. Przed spółdzielczością stoją poważne zadania. W przeludnionych i biednych rejonach kieleckich, musi ona stworzyć warsztaty pracy, a w rejonach rolniczo-bogatych placówki przetwórcze. Nie trzeba szukać zagranicznych przykładów, wystarczy wspomnieć ,że na Podhalu chałupnictwo stało się dziś głównym źródłem utrzymania.

Struktura gospodarstw rolnych w Kielecczyźnie nie daje ludności wiejskiej pełnego zatrudnienia i nie stwarza odpowiednich warunków życiowych. Mamy bowiem 79 tysięcy gospodarstw rolnych do 2ha, co stanowi 29%, od 2 — 5 ha 123 tysiące gospodarstw, czyli 49%, od 5 — 10 ha 61 tysięcy gospodarstw, czyli 21% i ponad 10 ha 1%. Ten wielki zapas niewykorzystanej energii ludzkiej, drzemiącej w poszczególnych porach roku bezczynnie, trzeba zaprząc do twórczej pracy. Chałupnicze spółdzielnie pracy małorolnej ludności wiejskiej muszą dać dodatkowe zajęcie. Dokonująca się na wsi kieleckiej elektryfikacja stwarza dla tych spółdzielni bardzo szerokie możliwości działania.

Ogólna gospodarka rolna w Kielecczyźnie stoi na niskim poziomie. Przed wojną przeciętna wydajność z hektara była u nas znacznie mniejsza, niż w Poznańskim. Dziś, na skutek zniszczeń wojennych, braku narzędzi i maszyn rolniczych, oraz braku koni i bydła, przeciętna wydajność z hektara jeszcze bardziej zmalała. To też Samopomoc Chłopska, szkoły rolnicze, przysposobienie rolnicze, ośrodki maszynowe oraz instruktorzy rolni muszą dołożyć wszelkich starań, by wieś kielecka w szyb-

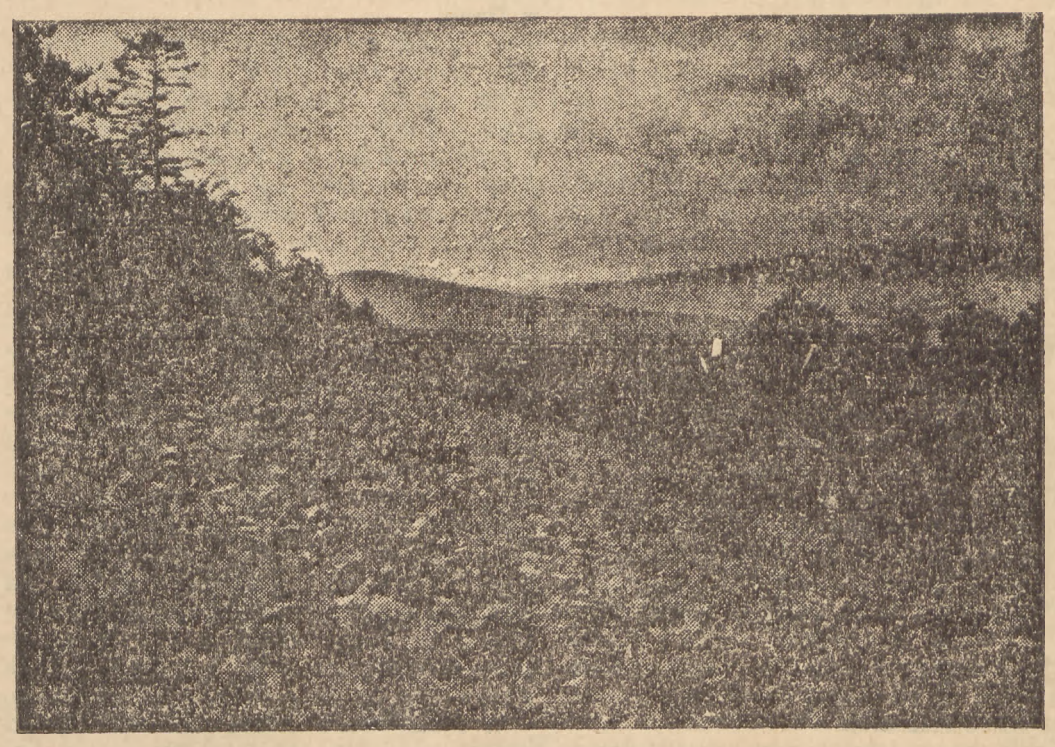

Najpiękniejszą górą w opatowskiej części pasma Świętokrzyskiego jest Szczytniak, leżący między wsiami Kuninem i Skoszynem z północy a Piórkowem z południa. Ze szczytu góry otwiera się w około cudny, rozległy widok. Na zdjęciu: gołoborze na Szczytniaku, w głębi góry Jeleniowska i Łysa Góra (Św. Krzyż).

WINCENTY BUREK

W mojej wsi

W jednej z przedwojennych powiastek napisałem takie chełpliwe słowa o mojej rodzinnej wsi: „Stanęła wieś przed wiekami, stała i stała, i nic jej z miejsca nie potrafiło zepchnąć". Z opowiadań starych ludzi i z badań źródłowych sandomierskiego pisarza, nieodżałowanego Romana Koseły, wiedziałem o dawnych dziejach mojej wsi niejedno. Nie dziwota, że z niejaką dumą wyliczałem listę klęsk, jakie w przeszłości spadały na wieś, a którym się oparła zwycięsko „wparła się w ziemię i była". Przyznaję, że sporo tej serdecznej dumy ukazało się w sposobie, w jakim opisywałem moich ocińskich bohaterów, ludzi twardych i upartych, jak ta cała materialna wieś, której nawet komasacja nie potrafiła rozrzucić na koloniach. Wieś stała i stała przez wiele, wiele wieków, przetrwała różne dawne wojenne losy, przyjmowała w opłotkach rozmaite obce wojska, pamiętam jak rosła w moich oczach i piękniała, jak z każdym rokiem porzucała tu i tam słomianą strzechę, jak się podźwigała nie tylko gospodarczo i tak oto — nieświadoma tego co ją czeka — zbliżała się nieuchronnie do swego przeznaczenia. Przeznaczenie było okrutne: zniosło ją z powierzchni ziemi prawie do szczętu.

Zanim kiedyś opowiem o tym szczegółowiej w kształcie literackim, chcę dziś pokrótce opisać nagły i niespodziewany pogrom wsi i jej powolne a uparte dzwiganie się z katastrofy.

Wojna wrześniowa i lata okupacji nie wyrządziły wsi znaczniejszych szkód. We wrześniu burza wojenna poszła bokami, stroną południową i północną, tam gdzie wokół wiślanych mostów toczyły się gwałtowne walki. Nikt ze wsi za Wisłę nie uciekał, wszyscy byli zajęci robotą, po stodołach trajkotały młocarnie i pacały cepy przy omłocie zboża na schowanie i siew, na gruntach szły orki jak za spokojnych czasów i nawet wypadek z moim ojcem, którego ostrzelał lotnik niemiecki, nie odstraszył nikogo od wyprawy w pole. Zaraz zresztą w drugim tygodniu wojny nastała okupacja. Wieś została jak była, ale ludzie wsiowi już nie byli ci sami. Trwająca latami wojna i okrutna niewola gwałtownie poruszyły spokojne dotąd bytowanie i wydobyły na jaw dużo zwykłych ludzkich cnót. Światlejsi chłopi oddali się całym sercem robocie politycznej w konspiracji, przeciętniacy jak mogli i umieli wylgiwali się od pełnych kontyngentów zbożowych, szarwarków i różnych przymusowych powinności, młodzi hurmem weszli do organizacji wojskowych i w większości znaleźli się w B. Ch. Ot, zwyczajne dzieje zwyczajnej wsi polskiej w czasie minionej wojny. Godnie, honornie, po polsku i po ludzku poczynała sobie wieś w trudnym czasie. Nie zbłaźnił się tu niczym nikt, wysiedleńcy z zachodu nie narzekali tu na nic i na nikogo, przechodni leśniacy radzi tu przebywali, żydowskie niedobitki znajdowały dobry schron. I choć naokoło trafiały się najrozmaitsze wypadki niszczące ludzi i mienie, tu nieszczęście, pomyślnym trafem, nie zajrzało. Nawet jeńcy — Ociniacy z niemieckiej niewoli się powymykali, branki i łapanki młodych zbytnio nie dotknęły i nawet koloniści niemieccy tu nie osiedli, choć w sąsiednich wsiach podsandomierskich było ich sporo, a wieś do przesiedlenia była już naznaczona. To też niejednemu wydawało się to wszystko aż dziwne — bo za pomyślne — i gdy letnią porą 1944 doszły tu zza Wisły i Sanu głuche odgłosy dział a Niemcy na gwałt zaczęli organizować obronę po tej stronie Wisły goniąc chmary ludzi do kopania rowów — niepokój ogarnął wieś. Widzieli wszyscy dobrze: Niemcy tak łatwo nie dadzą się stąd wygnać, ludzi i broni mają jeszcze dość, obroni ich Wisła i wysokie z tej strony brzegi, na rękę im pójdzie wykruszenie się wojsk sowieckich w czasie gwałtownej ofensywy na wielkich przestrzeniach od Dniepru do Wisły. Mądrale wsiowi wróżyli, że front stanie na Wiśle, odległej od wsi o niecałą milę, a wtedy — bieda. Pełno tu będzie Niemców, oni ludzi wyżenią, przepadnie wieś w ogniu armat i bomb. Trzeba być w gotowiu na najgorsze.

W ostatnim tygodniu lipca, gdy żniwa były w pełni i żyto stało w mendlach nie zwożone, obie walczące siły stanęły nad Wisłą. Zaczęło się tu najpierw, od wschodniej strony. Dudniły działa, buczały samoloty, zagrały katiusze przed pierwszą próbą forsowania Wisły przez ruskich pod Szczytnikami. Jak się wkrótce okazało, był to tylko manewr, zastosowany przez atakujących w wielu punktach na rzece, aby Niemców wprowadzić w błąd i nie dopuścić do wcześniejszego zmiarkowania, gdzie pójdzie główne uderzenie poprzez Wisłę celem utworzenia przyczółka na lewym brzegu. Po tygodniu ciągłych walk we wschodniej stronie przyszła nagle niespodzianka: ni z tego ni z owego bitwa rozgorzała w stronie przeciwnej — na zachodzie. To siły sowieckie, które sforsowały Wisłę pod Zawichostem, po zajęciu południowej części powiatu obeszły od zachodu silnie umocniony Sandomierz i parły klinami dalej na północ, w tym celu, aby o jakąś milę od Ocinka zagiąć te kliny ku Wiśle i Niemców zamknąć w kotle. Niemcy bronili się jak czorty. Przez półtora tygodnia trwał zażarty bój i z górek ocińskich dobrze było widać i słychać piekło wojenne, które szalało w niedalekich wsiach idących z dymem dzień i noc. Z Dobrocic, Pielaszowa, Daromina, Bożęcina, Sobótki, Łukawy powoli zbliżać się zaczął do wsi walec wojenny. Niemcy krok za krokiem ustępowali, z uporem hamując atak i nie dopuszczając do zamknięcia kotła. Przyszedł wreszcie sądny dzień na wieś. Ludzie poskrywani w piwnicach i dołach przeżywali jeden dzień i dwie noce przeraźliwej grozy. Silna grupa niemiecka, otoczona z trzech stron, broniła się twardo we wsi i zaraz poza wsią i siała ogniem armat, granatników i dział przeciwpancernych. Działa przeważnie stały tuż w pobliżu przepełnionych piwnic i schronów, aby obsługa miała się gdzie kryć. Sowiecka artyleria i czołgi wstrzeliwały się wciąż. I co powiecie: wieś znowu miała dziwne szczęście. Nikt podczas boju nie zginął, choć o krok od niejednej piwnicy ziemia była zdziurawiona od pocisków, zaś pożar zniszczył wszystkiego dwa pełne zabudowania i trzy stodoły z oborami; może zniszczyłby i więcej, ale zagrożeni pożarem, niepomni na nic, wybiegali ze schronów i z brawurą bronili i obronili od ognia sporo budynków. Gdy po bitwie półżywi ludzie powyłazili z ukrycia, byli pewni, że dla nich już jest po wojnie. Po ciężkim czasie trwogi i ustawicznego żegnania się ze światem w mrokach piwnic nastąpiło odprężenie, radość, że się przeżyło najgorsze i ma się całe kąty. Nawet ci, co ucierpieli, rachowali na łatwe przeżycie, bo przecież wszystko zboże w polu, więc głód nie dokuczy, a dachu sąsiedzi i krewni użyczą. Niestety. Rachuby były na wodzie pisane. Wojna się dla wsi nie skończyła. Ona się dopiero dla wsi zaczynała.

Zaczynała się wojna, bo Niemcy nie dali się wyrzucić dalej od wsi jak o 2 kilometry. Front stanął. A ze wsi trzeba się było wynieść. Na całą jesień i kawał zimy do połowy stycznia. Trzeba było wszystko opuścić, mało co zabrawszy na furkę czy w zajdy. Trza było iść do obcych ludzi i prosić o byle jaki kąt, swój z musu opuściwszy.

kim tempie odrobiła zaniedbania i przez oświatę oraz przez podniesienie kultury rolnej podniosła swe plony.

Ale samo podniesienie kultury rolnej i sprowadzenie na wieś narzędzi pracy to jeszcze nie wszystko. Z całokształtem zagadnień rolnych wiąże się szereg innych ważnych problemów jak: komasacja, melioracja, racjonalna uprawa łąk, hodowla bydła, specjalizacja, przetwórstwo i t. p. Niektóre problemy dadzą się rozwiązać w pojedynkę — wystarczy dobry przykład i odpowiednia instrukcja, natomiast przy rozwiązywaniu innych musi być wspólne i planowe działanie.

Województwo kieleckie ma wyraźne dwa rejony rolne, świętokrzyski i południowonadwiślański. Pierwszy o glebach słabych, drugi o glebach dobrych. Trzeba z góry nakreślić jaki typ gospodarstwa rolnego ma powstać w poszczególnych rejonach. Okres rewolucji agrarnej już minął. Dalsze przemiany na wsi kieleckiej nie mogą być dzikie, lecz muszą być zgrane z ogólnym planem przebudowy struktury gospodarczej naszego województwa.

Na tę drogę wielkich przemian Kielecczyzna już wkroczyła. Oczywiście, że końcowe etapy tej drogi są dalekie. Trzeba czasu, pracy, wytrwałości, pieniędzy, a nade wszystko wzajemnego zrozumienia i wiary w celowość podjętych wysiłków. Wieś kielecka musi się przebudzić, jeszcze bardziej uspołecznić i tym wielkim przemianom wyjść na przeciw. Twórcza postawa jednostki i gromady musi się zlać z ogólnym nurtem, który przeobrazi biedną Kielecczyznę w krainę postępu i dobrobytu.

C. P.

Na gruzach pańskiego dworu — Chłopska Szkoła

Gminna szkoła rolnicza w Janikowie, pow. Kozienice

W ostatnich miesiącach miałem okazję zwiedzić kilka szkół rolniczych. M. in. zawadziłem o gminną szkołę rolniczą w Janikowie, pow. kozienickiego, z którą zapoznałem się nieco bliżej. Podpatrując życie tej placówki, nasuwało mi się również trochę uwag o ogólnym charakterze, z którymi pragnę z Czytelnikami tyg. „Chłopi i Państwo" podzielić się.

X

W kraju rolniczym, lecz w dziedzinie rolnictwa zaniedbanym i opóźnionym, każde powstanie nowej szkoły rolniczej to milowy krok naprzód. I odwrotnie, każdy jej upadek to milowy krok wstecz.

Przed wojną szkół rolniczych było w Polsce niewiele. Dlaczego — wie dobrze każdy, kto był świadkiem ówcześnie panujących stosunków sanacyjnych. To też powojenny plan upowszechnienia oświaty rolniczej stanowi jedno z największych dobrodziejstw, wynikających z dokonanej reformy rolnej. Plan ten wieś przyjęła z radością. Pozostawianie resztówek pofolwarcznych pod przyszłe szkoły rolnicze, których najmniej po dwie (męska i żeńska) projektowało się w każdej gminie, witane było z największym uznaniem.

Nic też dziwnego, że nawet w powiatach tak strasznie zniszczonych, jak powiat kozienicki, gdzie na 21 gmin 19 uległo zniszczeniu, wśród niezmiernej nędzy i nigdzie chyba nieznanych skutków wojny, nie zapominano od pierwszej chwili wyzwolenia o oświacie rolniczej.

Przed wojną istniała tam szkoła rolnicza w Zwoleniu. Wartość jej powiat należycie oceniał. Po wojnie szkoła ta, której budowle dziwnym trafem ocalały, przemieniona została na gimnazjum rolnicze. Ponieważ gimnazjum w myśl nowego planu winno w zasadzie przygotowywać kandydatów do liceum i dalszych studiów, czyli raczej kandydatów na inteligentów, chętnie uciekających ze wsi, zwrócono więc także uwagę na twór najmłodszy, na typ t.zw. gminnej szkoły rolniczej (obecnie P. R.). Nie trzeba być bowiem wielkim znawcą tych spraw, by orientować się, że:

1) szkoła tego rodzaju jest dla chłopa polskiego jedyną szkołą zawodową,

2) rola takiej szkoły na gruncie polskim równa się roli uniwersytetu ludowego w Danii,

3) dopóki młodzież wiejska nie przejdzie obowiązkowo przez ludową szkołę rolniczą, dopóty wzdychanie za postępem będzie daremne a chłop będzie tylko rolniczym chałupnikiem a nie fachowcem,

4) lekceważenie tego typu szkolnictwa a podtrzymywanie owczego pędu do szkół produkujących elitę może stać się zjawiskiem groźnym, oznaczającym nawrót do przedwojennej „nadprodukcji inteligencji", na ogół leniwej i bezproduktywnej, pogardzającej pracą fizyczną w polu, przy „gnoju". To też w powiecie kozienickim obok istniejącego gimnazjum podjęta została próba uruchomienia przynajmniej jednej dwuletniej gminnej szkoły rolniczej. Mimo straszliwie smutnej sytuacji „przyczółkowej", braku ocalałej i zdatnej na to resztówki, mimo wrogiej sugestii, że szkoły takiej nie warto uruchamiać, bo już gdzieś tam powstałe podobne szkoły na terenach nie zniszczonych, w dobrych ośrodkach, świecą pustkami — została jednak wbrew tym opiniom podjęta śmiała próba.

W resztówce, z której zaledwie resztki ocalały w postaci okaleczałego zrębu bez dachu, podłóg, drzwi, okien, pieców, tynków i t. d., przy zupełnym braku narzędzi, braku bodaj lichej łopaty, sznurka lub drutu, braku wszelkich zwierząt domowych (ocalały tylko myszy i wróble), na zupełnej i rozpaczliwie gołej pustyni, liczącej „aż" 4.33 ha ziemi ornej piaszczystej, stojącej prawie odłogiem i zachwaszczonej, w takim oto „dworze" przystąpiono do uruchomienia gminnej szkoły rolniczej w Janikowie, gm. Brzeźnica. I uruchomiono ją w ciągu 2 miesięcy. Mianowicie, we wrześniu 1946 r. zaczęły się roboty budowlane a w listopadzie tego samego roku — wśród biedy, ciasnoty, w rumowisku, bez ławek, stołków, książek, tablic i t. p. pomocy naukowych rozpoczęto lekcje. Młodzież w liczbie 55 osób, a później ponad 60 rozpoczęła regularne uczęszczanie, mimo, że nadeszła ciężka zima, mrozy, zadymki, a nie było obuwia, ani ciepłej odzieży, a często nawet kawałka chleba, zeszytu, ołówka...

Jest to zjawisko nieznane w dziejach szkolnictwa rolniczego w Polsce i zapewne w dziejach świata. Nieznane, gdyż zniszczeń takich nigdy jeszcze i nigdzie nie było i szkół rolniczych nigdy jeszcze i nigdzie nie otwierano tak szybko i wśród takiej biedy, z taką frekwencją i otuchą, na tak beznadziejnych gruzach.

Jest to więc szkoła, która demaskuje nareszcie fałsz ukryty w dawniejszych metodach budowania i „urządzania" szkół rolniczych w ciągu kilku lub kilkunastu lat za olbrzymie, fantastyczne sumy, wśród ogłaszania bzdurnych konkursów, rozległych monografji i rozpoczynania wreszcie nauki bez uczniów. Demaskuje też kłamstwo o braku zainteresowania się oświatą rolniczą na wsi. I na tym polega niebywały sukces tej szkoły.

Na kupie gruzu i popiołu powstała szkoła rolnicza i rozwija się. Zaczyna istnieć gospodarstwo szkolne. Brak jeszcze ogrodzenia i dachu na nowym budynku inwentarskim, brak stodoły, ale są już 2 krowy, 2 konie, prosięta, drób i najniezbędniejsze urządzenia. Budynek szkolny na miejscu dawnego dworskiego „śpichrza" odbudowany. Wnętrze umeblowane skromnie ale praktycznie, jest nawet pół internat. Nowa biblioteka liczy już ponad 300 książek. Istnieje spółdzielczy sklepik uczniowski, niezamykany, gdzie nieznane są nadużycia. W gospodarstwie nie istnieje zagadnienie t. zw. służby. W pracy chętnie pomagają uczniowie. Nie znane są kradzieże w obrębie szkoły i gospodarstwa, choć najczęściej budowle, są pootwierane. Była służba dworska chętnie pomaga w miarę możliwości a ludność okoliczna szanuje dorobek szkolny i często wyraża swe najżywsze zainteresowanie i zadowolenie. Nie obserwuje się tu tak charakterystycznego uczucia zazdrości, gdyż na obszarze 4 ha zazdrościć nie ma czego. Szkoła ta nie mieści się na folwarku i z folwarkiem nie chce mieć nic wspólnego. Pracy szkolnej, wychowawczej, gospodarczej, budowlanej, społecznej, kancelaryjnej (biurokratycznej!) jest bardzo dużo. Jest jej nawet za dużo. Każdy dzień jest nią wypełniony po brzegi. Wystarczyłoby jej dla kilku osób. A tymczasem personel stały składa się z 2 osób zatrudnionych przez Wydział Oświaty Rolniczej w Kielcach. Są to wieloletni pracownicy agronomii społecznej, przywykli do nauczania rolnictwa na wsi bez pomocy folwarków, luksusowych pałaców, ciepłych pieleszy, smacznej kuchni oraz bez pomocy nadymania się i wysilania na kosztowne a szkodliwe parady i wielkopańskie maniery. Dlatego walcząc o postęp, nie tracą z oczu rzeczywistości wiejskiej. To rozstrzygać będzie o losach oświaty rolniczej w Polsce, nie zaś dawne fatalne rutyniarstwo szkolnicze i nadrabianie miną.

W powiecie kozienickim, na „przyczółku", mimo przeraźliwych zniszczeń materialnych, oświata rolnicza w oparciu o cenną praktykę agronomiczno-społeczną została zapoczątkowana i rozwija się ciekawie. Są widoki na przyszłość i wiele nadziei. Powstaje druga szkoła P. R. w Strykowicach k/Zwolenia a w najbliższym czasie zadanie to podejmą gminy Trzebień, Brzóza i inne.

Chłopi wsi kozienickiej są przekonani, że dawne krzywdy sanacyjnego reżimu i krzywdy wojenne są do naprawienia w Polsce Ludowej i poprzez demokratyczną, uczciwie pracującą szkołę nowego typu zostaną naprawione. Wówczas wieś zmieni swój charakter, swój przestarzały i nieraz szkodliwy sposób rozumowania, zmieni swój wygląd zewnętrzny, wyrośnie z przeklętej biedy, a Polska stanie się szczęśliwą krainą mlekiem i miodem płynącą.

Przejezdny.

Da moja Łysica

Da moja Łysica
Moja złota góra
Oj da dana dana da
Na tobie jedlina
Stoi kieby chmura
Oj da dana dana da.

Da moja Łysica
Da mój złoty lesie
Oj da dana dana da.
Jak pasie dziewczyna
Już ci grzybki niesie
Oj da dana dana da.

Niema się co wadzić
Bo wiedzą to wszyćkie
Oj da dana dana da
Że niema jak nase
Góry Świętokrzyskie
Oj da dana dana da.

KSIĘGARNIA ŚWIĘTOKRZYSKA
CHŁOPSKIEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ ODDZIAŁ W KIELCACH
KIELCE, UL. KILIŃSKIEGO 10
POLECA W DUŻYM WYBORZE KSIĄŻKI ZE WSZYSTKICH DZIEDZIN.
BOGATO ZAOPATRZONY DZIAŁ KSIĄŻEK ROLNICZYCH.
SPECJALNOŚĆ: KOMPLETOWANIE BIBLIOTEK
WYSYŁKA DLA P. T. ODBIORCÓW ZE WSI PO UPRZEDNIM WPŁACENIU NALEŻNOŚCI LUB ZA POBRANIEM POCZTOWYM.

Gdy front ruszył i ludzie powrócili — wsi już nie było. Z całego Ościnka, ocalało kilka chałup i parę jakichś resztek. Ze stu przeszło budynków zostało dziesięć kalek całej osady. Milczkiem, pokryjomu, poza oczami wojna potrafiła zepchnąć moją wieś z miejsca, na którym stała przez wieki. Katastrofa — można powiedzieć — całkowita.

Katastrofa katastrofą — a żyć i dopust przeżyć trzeba było jakoś. Jak wszędzie tam, gdzie bezbronne wsie straszała wojna, tak i tu sprawy poszły swoją koleją. Wczesną wiosną osiedlili się ludzie w piwnicach, niektórzy szczęśliwcy przycupnęli kątem w tych paru ocalałych chałupkach — i tak się to zaczęło. Bieda była powszechna i dojmująca. Jeden uratował parę koni, kilku miało po jednej mizernej szkapinie, a większość nie miała nic. A rolę pod wiosenny siew uprawić trzeba, trochę jarej pszenicy zasiać, bo jesienią mało kto miał szczęście — dopadkiem i nocą — parę ćwierci w ziemię wrzucić. Pomagali sobie po sąsiedzku, donajmowali spod miasta i skąd się dało, aby tylko coś niebądź wsiać i wsadzić, bo na czyjąś wystarczającą pomoc nie bardzo można liczyć wobec takiego ogólnego zniszczenia i tylu powszechnych potrzeb. Trochę ziarna i ziemniaków dostali na przydział, przysłowiową kroplę w morzu, ot, po parenaście kilo na hektar i po parę worków byle jakiego drobiazgu, ale dobre i to, chociaż zdobywane na ciężkiej drodze wśród swarów i obrazy boskiej. Całe rodziny pospólnie rozrywały bunkry wydzierając drzewo, zasypywały rowy i stanowiska przywracając polom i ogrodom dawny ich wygląd. Gdzie w domach było więcej silnych rąk do pracy, tam zaraz lepiej się działo. Im więcej kto drzewa wydobył — a był w tym prawdziwy wyścig pracy — ten zaraz mógł myśleć o postawieniu budy zarzuconej słomą i ziemią, opatrzonej w palenisko i co nieco podobnej do siedliska ludzi, którym już dopiekło przebywanie w zaduchu i ciasnocie piwnic i dołów ziemniaczanych. Przede żniwy niemal na całej wsi sterczały te pokraczne budynki posiane jak Bóg dał: samotne, przytulone do muru, albo w murach wypalonych chlewów. Grunt, że były. Zawszeć to oparcie, widomy znak i pierwszy krok w odbudowie.

Poszedł rozgłos o ziemiach na zachodzie, o pięknych gospodarkach do objęcia, ale ze wsi nikt jakoś nie miał ochoty się ruszyć — pomimo całej męki i pracy zgoła nieludzkiej. Owszem, odeszła ze wsi jedna rodzina, ale taka, która tu ziemi nie posiadała. Kto ją miał, choćby niewiele, trzymał się wsi uparcie, zbierał pierwszy powojenny, bardzo lichy, plon i myślał zawczasu o jesiennym siewie, a wraz z tym — o budowie, koniu, krowie i całej reszcie najgwałtowniejszych potrzeb w odzieży i obuwiu. Każdy przed zimą chciał mieć ciepły kąt dla siebie i stworzenia — zboża i pasze musiały zostać, zakopione, pod niebem, na to nie było rady. Cały wysiłek poszedł w stawiankę. Rosły jak grzyby po deszczu obory z izbą pod jednym dachem, robiły się z drzewa zdobytego i kupnego, z gliny, z kamienia, z pozostałych pustaków, nakrywały się dachówką, strzechą, trzciną i czym się dało. Dopomagał w czym mógł urząd odbudowy z powiatu: cementem, wapnem, papą, szkłem — i na zimę wieś wychynęła ze swoich kuczek z jednym jedynym wyjątkim: wdowa po Pawle Kulawym z kilkorgiem drobnych dziecek nie zdołała się przemóc i została na tę zimę w piwnicy...

Ciężko i opornie, w głodzie i brakach, toczyło się życie. Im bardziej doskwierało, tym więcej dobywało z ludzi uporu, woli wytrwania, cichego heroizmu. W wolniejszym od pilnych robót czasie przemyśliwali ludziska jakby se ulżyć w trudnej doli. Kto by tam dawniej szedł na piechtę dziesiątki kilometrów za tańszym troszkę kupnem konia czy krowy! A ci szli na cały tydzień nieraz gdzieś pod Jarosław czy Lublin, aby taniej kupić. Kto widział starych, poważnych gospodarzy idących w zawieję i tęgi mróz do miasta z kapką masła odjętego od ust albo z bańczyną mleka? A oni dygotali na rynku i kęsem jęczmiennego chleba zasycali głód, aby grosza nie utrwonić. Jeździli za drzewem milami w lubelskie lasy, dla taniej okazji. Bili się i wydzierali sobie wzajemnie z rąk byle jakie ciuchy, nadpływające z miłosiernych darów miłosiernych, zagranicznych dobroczyńców. Wiadomo, w takim położeniu życie wsiowe sielanki w niczym nie przypomina...

Ciężkie, uporne bytowanie nie ograniczyło się do tych najpierwszych potrzeb i spraw. Miało i jaśniejsze barwy. Bujnie rozkwitle po wojnie na wsiach życie polityczne, oświatowe i kulturalne wtargnęło i tutaj jako taka sama nieodparta potrzeba jak te inne, przyziemniejsze. Rozwinęła się praca w kołach: starszych i młodzieży, podźwignięto razem z sąsiednią wsią szkołę, składano się na odbudowę kościoła, młodzi często - gęsto urządzali przedstawienia, loterie i zabawy na dobre cele, a w tym roku jeden z nich, Staś Partyka, chwycił za pióro i napisał — na podziw zdatnie—sztukę teatralną, wystawianą z wielkim powodzeniem we wsi i okolicy.

Dźwiga się moja wieś, rośnie, i z każdym rokiem rany wojenne zalecza. Już zeszłej wiosny nic nie było na polach w odłogu, co rok przybywa po parę budynków (biuro odbudowy walnie się tu przyczyniło pożyczkami), wzrasta bydlęce pogłowie, widać u wszystkich wyraźną poprawę w ogarnięciu, powoli otrząsają się ludziska z przygniotu złej doli, radzi że się się nie dali biedzie, wzmożeni w samopoczuciu, ot, tacy sobie zwykli polscy ludzie z wsiowych opłotków, jakich pełno w Rzeczypospolitej.

„Stanęła wieś przed wiekami, stała i stała, i nic jej z miejsca nie potrafiło zepchnąć"... A zepchnęło? No to co! Na krótko ino, na krótko.

Wincenty Burek

Z CZASÓW OKUPACJI

C. KROGULEC

Michniów — symbol umęczonej wsi kieleckiej

Przy trakcie Suchedniów — Bodzentyn, na granicy lasów siekierzyńskich, które są jakby przedmurzem puszczy świętokrzyskiej, rozłożyła się typowa wieś kielecka — Michniów. Przed wojną Michniów liczył sto domów z pięćset trzydziestu mieszkańcami. Gospodarstwa małe, 2 — 5 hektarowe, lecz bieda nie była zbyt jaskrawa, „dorabiali", pracując w tartakach suchedniowskich oddalonych o 3 klm., na kolei, w fabryce amunicji w Skarżysku, w leśnictwie i t. p.

Przyszła wojna i Michniow, jako najbliżej leżący punkt od lasów siekierzyńskich i świętokrzyskich, stał się bazą wypadową i siedzibą organizacyj podziemnych. Chłop michniowski — ukrywał, pomagał i żywił oddziały partyzanckie biwakujące w pobliskim lesie, zaś młodzież okoliczna brała czynny udział w tych oddziałach. W Michniowie opracowywano plany akcyj sabotażowych i dywersyjnych. Michniów tętnił podziemnym życiem organizacyjnym, żył i wyżywał się w walkach z okupantem, walczył o wolność Polski. Tak było do dnia 12 lipca 1943 r.

W drugiej połowie czerwca 1943 r. na bloku Jędrów został wysadzony pociąg wiozący urlopowanych Niemców — dużo ich zginęło. Mając już dawniej pewne podejrzenia, a jak się ogólnie przypuszcza — doniesienia, że wysadzenie pociągu było dziełem partyzantki michniowskiej, Niemcy postanowili zemścić się na ludności Michniowa. W nocy z dnia 11 na 12 lipca o godzinie 24 nadjechały samochody ciężarowe i pancerne od strony Suchedniowa i Krzyżki, naładowane SSmanami, żandarmerią i wojskiem, otoczyli wieś gęstymi posterunkami, poprzeprowadzali linie telefoniczne i o godzinie 5-tej rano przystąpili do zbrodniczego dzieła: chodzili po domach i zabierali mężczyzn bez względu na wiek, zabrali 98 mężczyzn, zapędzili do 6-ciu stodół, kazali im się położyć na boiskach i na tę żywą warstwę ciał pokładali narzędzia rolnicze, jak: brony, sprężynowki, pługi, rozebrane wozy i t. p., pozamykali wrotnie — podpierając je kołkami i stodoły podpalili. Z ofiar tych nie uratował się nikt!

Po dokonaniu tej strasznej zbrodni, spalili jeszcze 13 domów, zabrali 13 młodych dziewcząt do Niemiec na roboty (z których nie wszystkie powróciły), oraz 6-ciu mężczyzn do Oświęcimia i o godzinie 13-tej odjechali.

Tejże nocy z 12 na 13 lipca partyzantka miejscowa w odwet za bestialski i niczym nieusprawiedliwiony mord dokonała zamachu na pociąg sanitarny zdążający do Kielc. Straty Niemców nieznane, z naszej strony kilku rannych. Akcji dokonano w pobliżu wsi Krzyżka-Ostojów.

Następnego dnia o godzinie 8-mej rano Niemcy, rozwinięci w gęstą tyralierę, zaczęli otaczać Michniów od strony toru kolejowego i Wzdołu. Część ludności jeszcze w nocy i nad ranem uciekła do pobliskich sąsiednich wsi, Orzechówki i Wzdołu.

Po okrążeniu wsi, inni oprawcy podzielili się na grupy po 6-ciu zbirów i zaczęli wyprowadzać z zabudowań gospodarczych żywy inwentarz, odstawiając go do lasku w stronę Suchedniowa. Skończywszy z inwentarzem, zaczęli rabunek mienia znajdującego się w domach: wpadali po 4-ch — 5 do mieszkania, strzelali i dopiero przystępowali do rabunku, potem dom polewali benzyną i podpalali. W biedniejszych domach, w których nie widzieli cenniejszych rzeczy, ludzi uśmiercali rzuceniem granatu przez okno, a budynek podpalali. Słupy ognia i kłęby sino-czarnego dymu, unoszącego się nad umęczonym Michniowem widać było o kilka kilometrów. Jazgot karabinów maszynowych ustawionych na wzgórzach michniowskich, pojedyńcze i seryjne strzały, wybuchy granatów, oraz niesamowite krzyki podobne do wycia słychać było w oddalonym o 2 klm. Ostojowie. Tak „naród panów" wprowadzał cywilizację i kulturę!

Część mieszkańców ratowało się w ostatniej chwili ucieczką: w kartofle, żyto, czy nawet w pokrzywy. Niektórych w tej ucieczce zabito, kilkoro raniono.

Bestialstwo zbirów hitlerowskich w tej zbrodni michniowskiej doszło do zenitu! Wąsik Maria, która o 12-tej w nocy urodziła dziecko, została zamordowana wraz z niemowlęciem i staruszką matką, a potym spalona.

Następnego dnia osobiście widziałem zwłoki kobiety i 2-miesięcznego dziecka. Zwęglona ręka matki obejmowała dziecko, tuląc je jeszcze po śmierci do swej piersi. Jak się później dowiedziałem, ową spaloną kobietą była Dąbrowa, która z dzieckiem i rodzicami chrzestnymi wracała od chrztu i nieszczęśliwie wpadła zbirom w łapy.

Ucichły strzały, poczęły opadać dymy, nastała cisza cmentarna. Tylko lekki powiew wiatru kołysał nagimi szkieletami opalonych drzew — wydających jakby żałobne dźwięki, podobne do cichego, przerywanego szlochu nad umęczonymi ciałami. Pełzający jeszcze po ziemi dym okrywał ofiary zbrodni, robiąc wrażenie ostatniego kościelnego okadzenia — na pośmiertną drogę.

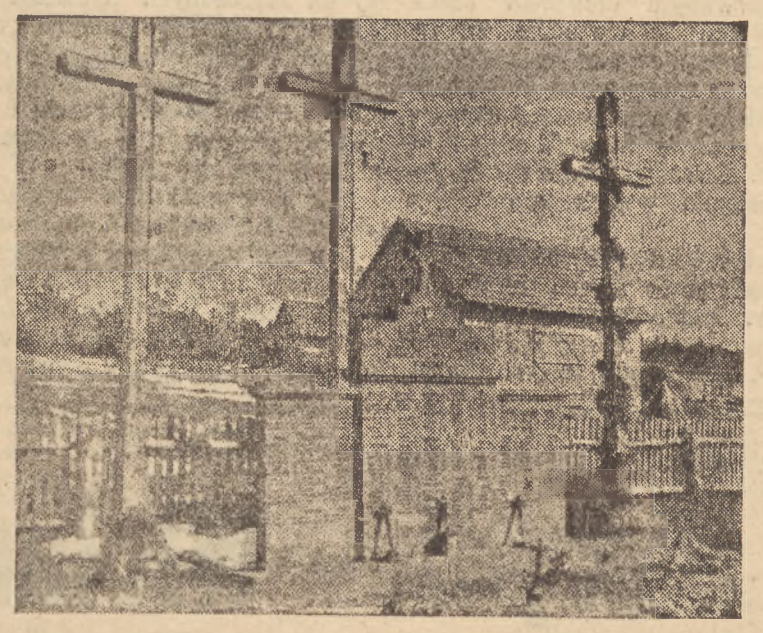

Mogiła w Michniowie, kryjąca zwłoki 218 ofiar hitlerowskich

O godzinie 14-ej Michniów przestał istnieć, pozostały tylko dymiące jeszcze zgliszcza, opalone drzewa i przydrożne krzyże, sterczące nagie kominy i 118 zwęglonych ciał!

Ze wsi liczącej 530 mieszkańców pozostało 314, którzy zdołali uciec, lub w ostatniej chwili ukryć się poza zabudowaniami. Ze stu domów mieszkalnych i zabudowań gospodarskich pozostała tylko na uboczu pod lasem 1-na obora murowana. W 12 rodzinach składających się z 5 — 7 osób nie pozostał ani jeden członek rodziny. „Naród panów" święcił swoje zbrodnicze zwycięstwo nad bezbronnymi. Jeszcze w przeciągu 3-ch tygodni nie można się było pokazać na zgliszczach Michniowa. W okresie tego czasu przejeżdżające patrole zabiły na polu 3 osoby.

Ciała pomordowanych, na polecenie Zarządu Gminy Suchedniów, zostały pochowane najpierw w dwóch grobach, a po oswobodzeniu Polski w jednej wspólnej mogile z pamiątkową tablicą 218 nazwisk Dwieście osiemnaście głosów oskarża i woła zza grobu o sprawiedliwość i pokój!

I dziś, kiedy jeszcze nie obeschły łzy wdów i sierot, kiedy jeszcze większa część ludności gnieździ się w ziemiankach i piwnicach — mocarstwa zachodnie uniewinniają zbrodniarzy, wybielając ich, dają na odbudowę miliard dolarów, dożywiają i dozbrajają, a tym samym przygotowują do nowej agresji, do nowych zbrodni, do nowego Michniowa!

×

Dziś Michniów zaczyna leczyć swoje rany, pobudowano już 32 domy, lecz większa część ocalałych zamieszkuje jeszcze w ziemiankach, lub „klitkach".

Chłop michniowski zdał egzamin patriotyzmu, miłości ojczyzny i wolności. Temu chłopu, który ocalał, trzeba dzisiaj dopomóc do odbudowy i zagospodarowania. Trzeba pomyśleć i zorganizować pomoc dla dzieci po zamordowanych, aby nie były zmuszone zbierać i chować jaj spod kury na opłacenie szkoły powszechnej.

Michniów należy potraktować specjalnie, bo chociaż nie był on przyczółkiem frontowym, ale uległ zorganizowanej i bestialskiej zbrodni, popełnionej na żywym ciele chłopa michniowskiego, który walczył i ginął za Polskę Ludową! Z pomocą winno tu przyjść przede wszystkim Państwo, ale wdzięczne pole do działania i popisu w dziedzinie opieki nad dzieckiem michniowskim ma Ch. T. P. D.

Stanisław Grabowski — »Socha«

spełnił obowiązek żołnierza-Bechowca

Nie trzeba chyba nikomu udowadniać, jak ważną rolę spełniała w czasie okupacji prasa podziemna. Głód wiadomości z szerokiego świata był tak wielki, że oprócz prasy centralnej „Rocha" w poszczególnych powiatach wychodziły podziemne pisma lokalne.

W okresie Powstania Warszawskiego, gdy prasa centralna przestała dochodzić, uruchomiono w Brynicy, pow. kieleckiego, dodatkowy punkt wydawniczy, który przez dwa miesiące wydawał „Ziemię Kielecką". Było to pismo informacyjne, wychodziło dwa razy w tygodniu w 150 egzemplarzach.

Pismo rozwijało się dobrze, lecz nagle ślepy traf spowodował nieszczęście i roztrzaskał wszystko.

Było to pod koniec września 1944 r., tego dnia, w którym Brynica z rąk Gestapowców odbiła swą nauczycielkę. Zaraz po tym wyczynie, „Socha" i „Facio" poszli do roboty. Nikt nie przypuszczał, że spłoszeni gestapowcy jeszcze tego dnia przyjadą do Brynicy. Postanowiono wydać numer „Ziemi Kieleckiej" jak najrychlej i zatrzeć ślady. Tymczasem w dwie godziny po odbiciu nauczycielki — żandarmskie auta przyjechały do Brynicy i to spowodowało nieszczęście.

„Facio" nie napisał jeszcze pierwszej strony, gdy wpadła do nich jego matka z okrzykiem—„Uciekajcie, bo Niemcy idą"! — Chłopcy stracili zimną krew i przestali nad sobą panować. „Socha" złapał maszynę i chciał ją chować w polu. Z drogi zauważyli go żandarmi i pobiegli za nim. Zaczął się ratować ucieczką, lecz z automatów posypał się za nim grad żandarmskich kul. Jedna z kul strzaskała mu piętę i chłopak padł. Żandarmi przywlekli go pod stodołę i zaczęli go bić, by powiedział, jak się nazywa ten drugi, co razem z nim wypadł za stodołę. „Socha" oświadczył, że go nie zna, więc rozpoczęli poszukiwania.

„Facio" wykorzystał ten moment, gdy żandarmi byli zajęci strzelaniem do „Sochy", uciekł do chałupy Wickowego Stacha. Zrzucił z siebie granatową bluzę i buty, wdział podarte spodnie i biały swetr sąsiada. Manewr „Facia" wprowadził Niemców w błąd, ten co im przed chwilą uciekł był inaczej ubrany, dla pewności zabrali go z sobą i zaprowadzili za stodołę do „Sochy". Mimo, że „Socha" dostał od żandarmów kilka razy kolbą w brzuch oświadczył on że „Facia" nie zna. I to oświadczenie „Sochy" uratowało „Facia"; puszczono go wolnym.

Za parę minut żandarmskie auta wywiozły z Brynicy „Sochę", wraz z maszyną do pisania i całym materiałem do ostatniego numeru „Ziemi Kieleckiej". Był to koniec tej gazetki.

Zabrany przez żandarmów „Socha" wiedział o wszystkim. Wiedział nie tylko o tym, kto się w Brynicy ukrywa i kto w niej kieruje pracą, ale znał wszystkie podziemne ścieżki w powiecie. W powietrzu wisiała wsypa, która mogła pociągnąć za sobą wiele ofiar i zdruzgotać cały dorobek konspiracyjny. Wszystko zależało od tego, czy „Socha" wytrzyma tortury i nie będzie sypał. Nadzieja była słaba. Złapali go z materiałem, który wyraźnie mówił, że należał do organizacji — tego nie mógł zaprzeczyć „Socha", jeśli nie chciał sypać, mógł tylko milczeć i zginąć. Ale milczenie w rękach hitlerowskich oprawców nie było rzeczą łatwą. Trzeba było nadludzkiej woli, by torturowane ciało nie spodliło szlachetnego ducha. Jak mi opowiadał później młody Stasio Zapała, który razem z nim siedział w kieleckim więzieniu, „Socha" nie shańbił swego imienia wsypą. Męczono go strasznie, ale gestapowcom nie powiedział nic. Nie ujawnił nawet swego nazwiska. Powiedział o sobie tylko tyle, że jest „Sochą".

Gdy go wyprowadzali na stracenie, opuszczał celę spokojnie, choć wiedział, że zbliża się jego koniec. Ściskając ostatni raz rękę młodego Zapały, powiedział,

— „Pozdrów ode mnie wszystkich w Brynicy i niech do mnie nie mają żalu, nie powiedziałem nic. Powiedz Szczepanowi i Stefanowi, że mogą być spokojni i dalej pracować".

I choć śmierć zaglądała mu już w oczy, ten niezłomny i zawsze pogodny „Socha" jeszcze myślał o Polsce i pragnął, by nie zaprzestali walki o jej wolność. Zginął śmiercią bohatera, zginął mężnie i godnie tak, jak na prawdziwego syna wsi polskiej przystało.

Pod pseudonimem „Socha", walczył i pracował i po bohatersku zginął **Stanisław Grabowski.** Nie był on synem Brynicy, urodził się 14.XII.1920 r. w Dobrakowie, w gminie Kidów, pow. Olkusz. Był to młody inteligent chłopski maturzysta i absolwent podziemnej podchorążówki. W swym rodzinnym powiecie olkuskim był działaczem Ruchu Ludowego i należał do szeregów B. Ch. Ścigany przez Gestapo musiał uchodzić ze swego rodzinnego powiatu. W Brynicy znalazł schronienie. Pracował w powiecie kieleckim jako powiatowy komendant L. S. B. Zżył się z Brynicą i czuł się w niej swojo jak w swojej wsi rodzinnej. Brynica go często wspomina mówi o nim z szacunkiem i czcią.

C. P.

Trzeba koniecznie przeczytać

pierwszą książkę Batalionów Chłopskich

»ŻELAZNE KOMPANIE BCh«

158 stron druku, 43 fotografie historyczne, barwna okładka. *Cena tylko 130 złotych.*

Do nabycia we wszystkich Sekretariatach Wojewódzkich PSL, Sekretariatach „Wici" i Księgarniach Nauczycielskich

oraz w Spółdzielni „Chłopski Świat" Warszawa, ulica Mazowiecka 9

S. SZUWARA

Meliny »Rocha« i B. Ch. w Kielcach

Ruch ludowy zawsze, jak długo istnieje, miał trudności z lokalami w mieście. Sekretariaty stronnictw chłopskich przed wojną najczęściej gnieździły się w nędznych i na przedmieściach położonych domkach. Trudności te były dlatego, że ruch chłopski nie miał możnych przyjaciół w mieście. Jeszcze bardziej trudną i wprost beznadziejną sytuację przeżywaliśmy w okresie minionej wojny, w początkach okupacji niemieckiej.

Pierwszy lokal i pierwsza nasza „melina" w Kielcach, kiedy podejmowaliśmy w województwie zorganizowaną działalność konspiracyjną w kwietniu 1940 r. — to był skromny drewniany domek przy ul. Ceglanej, będący własnością ludowca sprzed wojny, inteligenta chłopskiego, ob. M. Stąd pierwsze kroki kierował w teren kol. Fr. Kamiński, późniejszy Komendant Główny B. Ch. Wkrótce jednak trafiła się lepsza gratka, pewniejsza ze względów konspiracyjnych. Jako rzekomi pracownicy spółdzielczości zadomowiliśmy się w gościnnych pokojach „Społem" u p. Janiny K. przy ul. Złotej. Jak już nazwa tej ulicy „wskazuje", odtąd zapanowała dla nas „złota epoka". Znaleźliśmy tu pełne zrozumienie dla pracy Ruchu Ludowego, nie trzeba było później kryć się z nadchodzącą bibułą konspiracyjną, wszystkie przyjeżdżające z Warszawy do Kielc współpracowniczki „Rocha" jak kol. Mamakówna, „Blada Twarz" — Henryczka, Zelechowska i inne, waliły prosto do p. Janiny, przyjmowane gościnnie, żywione i otulane pierzynami po uciążliwej podróży.

Ta ul. Złota była dla nas, na szczeblu wojewódzkim, jakby „meliną" prywatną, przeznaczoną zasadniczo do użytku osobistego. Pierwszym lokalem o charakterze organizacyjnym była chałupa wiciarza i pracownika „Społem" kol. Ludwika Kosiora, przy ul. Chęcińskiej. Istotnie, była to chałupa a raczej waląca się ruderа, w której kol. Ludwik zajmował jedną odrapaną izbę. Tutaj, w tej izbie, nastąpiły pierwsze zaprzysiężenia komendantów powiatowych B. Ch. Na ten punkt przy ul. Chęcińskiej przybył na pierwsze spotkanie Janek Pszczoła — znany później szeroko w całym powiecie pińczowskim komendant Wojnar. Walił rotę przysięgi jak młotem, czuło się, że z tego chłopa będzie pożytek w robocie. Przez cały okres okupacji, w najtrudniejszych sytuacjach nie tracił fantazji, nosił się hardo, z podniesioną głową, był urodzonym żołnierzem-bojowcem i dowódcą, był ludowcem-demokratą, żył sprawą i padł od kul gestapo za Polskę Ludową na progu wyzwolenia.

W okresie 1940 roku robota ludowa na terenie województwa narosła już poważnie. Były już sformowane „trójki" powiatowe, było już sporo „trójek" gminnych, zjawiły się pierwsze „trójki" gromadzkie, wreszcie byli zaprzysięgani komendanci powiatowi B. Ch., a z Warszawy nadeszła już pierwsza prasa konspiracyjna „Rocha". Rozwój roboty wymagał rozbudowy aparatu organizacyjnego na szczeblu wojewódzkim, a to z kolei rodziło potrzebę wyszukania lokali. Doskonale z tego zadania wywiązywał się kol. Mieczysław Orzel-Bończa, późniejszy szef sztabu Komendy Okręgu B. Ch. Do tego trzeba było mieć sporo sprytu i tupet! Kol. Mieczysław miał spryt i tupet — oczywiście, słowa te należy brać w dodatnim znaczeniu. Każdą znajomość na mieście umiał wykorzystać, umiał ludzi podejść i nim się taka ofiara spostrzegła, my już z jej lokalu korzystaliśmy. A później już delikwent zżywał się z nami i stawał się szczerym uczestnikiem pracy ludowej. W ten sposób, przeważnie dzięki kol. Mieciowi, zdobywaliśmy coraz nowe i nowe „meliny".

Swoje i wyłącznie dla swoich potrzeb lokale posiadał kolportaż prasowy. Gospodarowali na nich kol. Władek Barlóg — „Koterba" i Kwiecień — „Lutek" (aresztowany przez gestapo, otruł się z Basią w więzieniu kieleckim). Kolportaż nasz lokował się przez pewien czas przy ul. Żytniej u kol. Milejskiego — „Kramarza", przy ul. Zaściankek, przy ul. Siennej 8 i w innych punktach.

Odrębne punkty posiadała organizacja „Rocha". Najdłużej nasz „Szczepan" gościł przy ul. Głowackiego, tutaj toczyły się narady politycznych „rabinów" i odbywały się odprawy przyjeżdżających działaczy z powiatów.

I wreszcie na osobnej sieci lokalowej pracowała Okręgowa Komenda B. Ch., która korzystała z mieszkań kol. Bończy, poza tym z lokalu przy ul. Piotrkowskiej, przy ul. Zagnańskiej, przy ul. Słowackiego i szeregu innych. Kryptonimem miejsca pobytu Komendy Okręgu było słowo „Telegraf" (od góry Telegraf pod Kielcami). Który kolwiek z komendantów i przywódców bechowskich przybywał na „Telegraf", wiedział dokąd i za jakimi hasłami się zgłaszać. Z tym zgłaszaniem się na punkt wiązała się zawsze pewna obawa. Przyjeżdżający z powiatu do Komendy nigdy nie był pewien, czy umówiony punkt jest w porządku. A może już w lokalu czyha gestapo? Ponieważ ludzie najczęściej przybywali do Kielc pociągami, dlatego na jednej ze ścian budynku stacyjnego umówione zostały sygnały ostrzegawcze. Zostało tam narysowane czerwonym ołówkiem kółko o średnicy 10 cm. W wypadku wsypy punktu kontaktowego owo kółko miało być przekreślone przez umówionych ludzi, którzy winni wiedzieć o ewentualnej wsypie, a którzy bezpośrednio nie byli zagrożeni aresztowaniem. Na szczęście nie zaszła potrzeba przekreślenia owego czerwonego kółka.

Gospodarka lokalami i życie na nich w opisie wygląda może nawet spokojnie i sympatycznie. Trzeba sobie jednak przypomnieć owe dnie grozy okupacji i terroru hitlerowskiego, owe ciągłe aresztowania, strach ludzi przed konsekwencjami. Dlatego często bywało, że wszystkie owe „meliny" paliły się nam i nie wiadomo było, gdzie uda się znaleźć nowe schronienie. Najgorętszy okres jaki przeżywaliśmy, to był listopad 1943 r. Wpadł wówczas punkt kolportażowy przy ul. Siennej, Lutek i Basia zostali zabrani na Zamek. W kilka dni później gestapo przeprowadziło rewizję w domach przy ul. Słonecznej, dopytując się o „Koterbę", „plutonowego z 4-go puku". W tym samym czasie przyszło gestapo do Zakładów „Społem", na szczęście, Miecio Bończa był akurat w kąpieli i ocalał. W tych gorących dniach grunt pali się nam pod nogami. W gorączce likwidowaliśmy na zagrożonych punktach (które zagrożone?) aparaty radiowe, maszyny do pisania, powielacze, materiały organizacyjne, kompromitujące materiały, amunicję. Trzeba było zmieniać lokale i trzeba było stawiać nowych ludzi do dalszej roboty, która stanąć nie mogła.

Tak oto w skrócie wygląda historia „melin" Rocha i B. Ch. na gruncie Kielc.

„Melina" — słowo z języka złodziejskiego, przyjęło się ono pewnie we wszystkich organizacjach konspiracyjnych. „Melina" — miejsce, w którym krył się człowiek konspiracji i materiały konspiracji. W ogóle praca konspiratora, a później i partyzanta, „chłopca leśnego", sięgała często do wzorów ze świata „przestępczego". Nie ubliży chyba to porównanie najbardziej patriotycznym i ideowym pracownikom, działaczom i partyzantom. Dla niejednego z bechowców jakby wzorem, gdzie szukać szkoły dla niewielkich oddziałów partyzanckich, była robota hersztów band. Skoczyć znienacka, zaskoczeniem, wykonać robotę i zniknąć! Nie mieliśmy w B. Ch. wyszkolonych dowódców i dlatego taki prymitywny ale przekonywujący i bezpośredni wzór ludzie sobie stawiali.

Również i pod innym względem w tym właśnie świecie można było szukać ostrzegawczych przykładów. Dlaczego wielu Janosików Podhala zostało powieszonych za żebro? Gubiła ich „gorzalecka i frajrka". Pewnie, Janosiki — to świat (jak się to mówi) przestępczy; konspiratorzy — ludzie ideowi. Ale mimo to, tak to już jest — „zdradzona miłość" nie zna granic zemsty, a znów wódka odbiera roztropność w działaniu. Dlatego zawsze w B. Ch. wnikaliśmy w prywatne życie ludzi, chcieliśmy poznać ich życie osobiste, czuliśmy, że od tego zależy los ogniw organizacyjnych, życie konspiracji na „melinach" w miastach i los naszych oddziałów partyzanckich.

„Meliny" się skończyły. Wyszliśmy na światło dzienne do wyzwolonej Polski. Wielu działaczy i wielu żołnierzy B. Ch. nałożyło głową, by ta wyzwolona Polska Ludowa przyszła, by pracowała i kwitła i by w niej znalazł szczęście i lepszy byt skołatany i udręczony wojną człowiek polski.

JAN GROCHOWSKI

Jan Morycz — Wiciarz i Bechowiec

zginął za Polskę Ludową

Poznaliśmy się już w szkole powszechnej, ale przyjaciółmi staliśmy się dopiero w gimnazjum. Było to w 1932 r., w przeddzień Zielonych Świąt. Na wycieczce wysunął się Jankowi z teczki „Zielony Sztandar", który stale przynosił dla swego ojca. W tych czasach gazeta ta u ucznia gimnazjum, nawet tylko przenoszącego to pismo dla kogoś, nie ułatwiała ukończenia szkoły czy nawet przejścia o klasę wyżej. Przekonałem się wówczas, że Janek jest ludowcem, zbliżyłem się więcej do niego i staliśmy się serdecznymi kolegami. Nie przypuszczałem wówczas, że właśnie przyszłe lata i wypadki związą nasze losy. Mieszkaliśmy razem podczas dalszych studiów i w czasie okupacji — razem prawie 8 lat. Dowiedziałem się wkrótce, że Janek jest czynnym członkiem „Wici", uczęszcza i wykłada na kursach i w Kole Młodzieży Wiciowej w rodzinnej wsi, w Mietlu pod Stopnicą. Nie uszło to uwagi sanacyjnego dyrektora gimnazjum. Prześladował go za to jak mógł. Nieco gorzej odpokutował za pracę w „Wiciach" podczas służby wojskowej w szkole podchorążych w Kielcach, którą ukończył bez awansu. Prześladowania te nie zahamowały jego wiary w Ideę Ludową. Zawsze czynny, pełen zapału pracuje nad sobą, pragnie posiąść dużo wiedzy. Na Studium Spółdzielczym przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie jest nie tylko członkiem akademickiej młodzieży ludowej (P.A.M.L.), ale interesuje się bez przerwy ruchem wiciowym, jak również ruchem spółdzielczym w rodzinnym powiecie.

Po ukończeniu studium pracuje najpierw w Warszawie, później w Oddziale „Społem" w Kielcach. Ani na chwilę nie zrywa kontaktu ze swoim powiatem. Przez Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici" organizuje odstawę jaj do „Społem" i to udaje mu się dobrze. Zaprawia w ten sposób Wiciarzy do czynnej pracy — do urzeczywistnienia i wcielenia w życie haseł spółdzielczych. To, czego się nauczył, chciał natychmiast realizować, chciał — jak sam często mawiał — „uziemiać ideę".

Był nadzwyczaj twardym i nieugiętym człowiekiem. Po klęsce 1939 r. nie widać było u niego przygnębienia ani załamania. To też tego samego roku już słuchał radia; karabin i krótką broń pięknie miał zachowaną; stale jeździł do Kielc, by dowiedzieć się, czy coś się nie święci.

Wczesną wiosną 1941 r. na Stawach Jastrzębskich odbyła się pierwsza odprawa B. Ch. i Janek jako zastępca Komendanta Powiatowego i jako komendant rejonowy pod pseudonimem „Sęk" zabiera się do pracy z właściwym sobie rozmachem. Jako instruktor jajczarski przy Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Busku obsadza Wiciarzami personel zarówno po zbiornicach jak w magazynie w Busku, stwarza świetne warunki dla skrzynki i kolportażu prasy, która regularnie, bez najmniejszych podejrzeń, rozwożona była natychmiast po całym powiecie. Jego pokój w Busku przy ul. Wschodniej 16 przez cały czas konspiracji był punktem dla wszystkich działaczy ludowych tak z powiatu jak i z wyższych szczebli organizacji. Dobrze był znany zarówno wszystkim kolporterom, jak i zwierzchnikom „Rocha". W ramach Powiatowej Komendy B. Ch. początkowo na powielaczu firmowym odbija rozkazy, instrukcje itp. Drużynę łączności wyposażył w 7 rowerów, sam miał 2 motocykle. Oprócz wielu innych powodów to właśnie też przyczyniło się do jego przedwczesnej, jakże męczeńskiej śmierci z rąk gestapo. Że za bardzo był ruchliwy, zwłaszcza gdy pracy przybywało, gdy trzeba było obsłużyć ponad 5.000 zaprzysiężonych B. Ch-owców i powiat kipiał i gotował się od „roboty".

Wiedział, że jest śledzony, że szef gestapo, Hans, poluje, a miał poza tym zatargi z szefem wywiadu cywilnego, volksdeutschem ze starostwa i przez pół roku nie pracował oficjalnie w spółdzielni.

Na dzień 21 października 1943 r. przyjechaliśmy motorem do Buska z tym, że wieczorem wracamy na wieś. W Busku ostrzegali Janka, że jest na liście. Zostaliśmy, by sprawdzić mieszkanie, czy nie ma prasy. Czuł się zmęczony i na moją prośbę, gdy nalegałem, żeby jechać — przyrzekł, że wyjedzie do dnia do pobliskiej wioski. I rzeczywiście wyszedł. Po godzinie wrócił i mówi, że pewnie chcieli go nastraszyć, bo w mieście jest spokój. W tym momencie obstąpili dom gestapowcy, próba ucieczki nie udała się. Po splądrowaniu domu, po 3-ch godzinach rewizji, zabrali go.

Uściskał mnie mocno, jakby żegnając się ze mną chciał wszystkich swoich najdroższych pożegnać, czy też dać im odczuć, że wszystko będzie w porządku. Tak zrozumiałem to. Nie zawiódł. Po 4-miesięcznym więzieniu zginął zamordowany okrutnie w lasku pod Lisowem. Na plakacie napisali złoczyńcy, że był członkiem nielegalnej organizacji B. W. Widocznie musiał opowiedzieć jakąś zmyśloną historię i nie przyznał się, że należał do B. Ch., by nie narażać naszej organizacji.

Powiat nasz, nawskroś ludowy, ma poza sobą sporo tradycji, sporo doświadczeń i walk o lepsze jutro wsi, ma wielu starych zasłużonych działaczy i to na miarę państwową — to jednak najbliższe sercu wsi, a zwłaszcza młodzieży wiejskiej są dwie postacie: Janka Morycza — „Sęka" i Janka Sowy — „Grota".

Pierwszego — całkowite poświęcenie dla sprawy i męczeńska śmierć, drugiego — bohaterski poryw do walki z odwiecznym wrogiem i również oddanie życia na polu chwały — będą na zawsze przykładami dla pokoleń, jak trzeba umieć żyć i poświęcać się dla sprawy. Postacie te są chlubą i dumą każdego bechowca i wiciarza naszego powiatu.

J. G.

KOMUNIKAT
Zarządu Pow. PSL — Opatów

Wyznaczony uprzednio termin konferencji został zmieniony. Mianowicie konferencja powiatowa działaczy PSL z pow. Opatowskiego odbędzie się w dn. 28 kwietnia (środa) w Opatowie, w lokalu Sekretariatu.

Każdy Ludowiec
jest prenumeratorem tygodnika
»Chłopi i Państwo«
Prenumeratę przyjmują wszystkie Zarządy Powiatowe PSL

Przedwojenni działacze ludowi

w świetle dokumentów „Dwójki"

Polityce Becka, opartej na ścisłej współpracy gospodarczej i wojskowej z Hitlerem, przedwojenne Stronnictwo Ludowe przeciwstawiło się z całą stanowczością. Na zjazdach i manifestacjach publicznych chłopi mówili wyraźnie, że w jednych szeregach z Niemcami na wojnę nie pójdą. Ruch Ludowy niejednokrotnie wzywał „sanację", by zaprzestała paktować z Hitlerem i wskazywał na konieczność nawiązania dobrych i pokojowych stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją.

Miniona wojna w całej rozciągłości potwierdziła słuszność chłopskiej myśli politycznej. Lecz, niestety, ówcześni rządzicіele sanacyjni byli innego zdania. Gorliwa „Dwójka" zbierała o ludowcach szczegółowe informacje, nazywając ich antypaństwowcami i wywrotowcami. W sanacyjnych kartotekach „MOB" przedwojenni działacze ludowi znaleźli by o swej działalności politycznej wiele ciekawych dokumentów.

Otóż ślepy przypadek zrządził, że po różnych kolejach jeden taki dokument dostał się w nasze ręce. Po prostu zgubiła go „Dwójka", gdy w galopie uciekała za granicę.

Urząd Wojewódzki w Kielcach pisze co następuje:

Do Pana Starosty Powiatowego w Busku.

W powiecie stopnickim w szeregach Stronnictwa Ludowego znajduje się paru czynnych działaczy, którzy w działalności swej dali się poznać jako sympatycy programu komunistycznego.

2 działaczy tych, Pawlina Piotr i Maślanka Józef, podczas akcji Rządu Polskiego w sprawie Śląska Zaolzańskiego nawoływali wyraźnie na zebraniach, że w razie wojny z Czechami chłopi nie powinni iść na wojnę.

Ponieważ destrukcyjna działalność tego rodzaju agitatorów Stron. Ludowego jest szkodliwa, Urząd Wojewódzki zamierza objąć ich elaboratem unieruchomienia (Instrukcji XIV) i w związku z tym prosi Pana Starostę o przedłożenie w terminie niżej zakreślonym wykazu działaczy Stron. Ludowego, którzy z uwagi na swoją działalność antypaństwową kwalifikowaliby się do unieruchomienia zgodnie z postanowieniem Instrukcji XIV.

W wykazie oprócz danych personalnych należy również uwzględnić charakterystykę działalności proponowanych do unieruchomienia agitatorów.

Za Wojewodę
(podpis nieczytelny)

W odpowiedzi na powyższe pismo gorliwy starosta z Buska L. Witkowski, w dniu 14 listopada 1938 r. pod Nr. 483/Mob/38 wysłał do „Pana Wojewody (Wydział Wojskowy) w Kielcach" — „wykaz skomunizowanych działaczy Stronnictwa Ludowego, którzy z uwagi na swą działalność antypaństwową kwalifikują się do unieruchomienia zgodnie z postanowieniami Instrukcji XIV."

Na stronie ostatniej tegoż dokumentu widnieje dosłownie taka oto charakterystyka działalności czterech działaczy ludowych z powiatu stopnickiego:

MAŚLANKA JÓZEF, rolnik zamieszkały w Szczytnikach: „Zdolny mówca i agitator o przekonaniach lewicowych. Kierownik akcji strajkowej S. L. w roku 1932 w powiecie. W wystąpieniach zewnętrznych głosi hasła jednolitofrontowe. W r. 1937 nawiązał kontakt z okręgowcem K. P. P. Łaskawskim z Kielc i Rusieckim Władysławem, aresztowanym za działalność wywrotową. Prace destrukcyjną prowadzi po linii dyrektyw Kompartii, czego dowodem wystąpienie jego na zebraniach podczas akcji Rządu w sprawie Śląska Zaolzańskiego i nawoływanie, że w razie wojny z Czechami, chłopi nie powinni iść na wojnę". Do tej charakterystyki dodany dopisek: „Aresztowany i osadzony w więzieniu w Kielcach".

PAWLINA PIOTR, rolnik zamieszkały w Stopnicy: „Utrzymuje kontakt z działaczami K. P. P. z Rusieckim Władysławem i Samerdakiem Stanisławem z Janiny, gm. Szczytniki. Dostarcza Maślance konspiracyjną korespondencję z Kielc. Wśród członków S. L. nawoływał, by chłopi nie szli na wojnę z Czechami. Ponadto szerzył agitację za bojkotem wyborów do Izb ustawodawczych". I znowu w uwadze dodano: „Aresztowany i osadzony w więzieniu w Kielcach".

PAWLINA WŁADYSŁAW, rolnik zamieszkały w Szczytnikach: „Demagog i bardzo agresywny mówca, pozostający w ścisłym kontakcie z działaczami K. P. P. Rusieckim Władysławem i Maślanką Józefem. Politycznie należycie wyrobiony, dobry mówca i jest najruchliwszym działaczem politycznym w powiecie. Jako prezes Zarz. Pow. S. L. i delegat na Kongres S. L. w Krakowie — spowodował powzięcie na posiedzeniu Zarz. Pow. S. L. uchwały, żądającej przekazania władzy ludowcom natychmiast. Ponadto na zebraniu w dn. 6.3.1938 r. wzywał ludowców do podjęcia agitacji za strajkiem rolnym w powiecie".

PODSIADŁO HENRYK, rolnik zamieszkały w Włosnowicach: „Pełni funkcję sekretarza Zarządu Powiatowego Str. Lud. Należy do ruchliwych działaczy S. L. w powiecie. Na zebraniach wygłasza przemówienia agresywne i jest wrogo usposobiony do obecnego Rządu. Posiada duże wpływy wśród chłopów w powiecie".

Starosta
(L. Witkowski)

Tak oto w świetle sanacyjnych dokumentów wyglądają przedwojenni działacze ludowi.

Na marginesie cytowanego dokumentu trzeba dopisać, że żaden z wymienionych „antypaństwowców" w tragicznych dniach września 1939 r. na Polskę się nie obraził i za granicę nie uciekł. Zaraz po utracie niepodległości zaczęli oni mobilizować siły chłopskie do zrzucenia hitlerowskiego jarzma. I właśnie w tym okresie największej próby oddania się jednostki na rzecz niepodległości państwowej, każdy z nich odegrał wybitną rolę i złożył niezaprzeczalne dowody swego głębokiego przywiązania do Polski.

Józef Maślanka, wybitny działacz polityczny i dowódca partyzantki BCh, współpracujący z A. L., za swe zasługi został pułkownikiem, w okresie przyczółka był wojewodą kieleckim, a później ministrem administracji publicznej, obecnie poseł z S. L.

Piotr Pawlina był jednym ze współorganizatorów Batalionów Chłopskich w powiecie stopnickim, a później na czele oddziału partyzanckiego B. Ch. stoczył z Niemcami wiele zwycięskich bitew i potyczek.

Władysław Pawlina to jeden z najwybitniejszych działaczy politycznych z okresu okupacji, to ten, który swą szarą i codzienną pracą oczyszczał teren powiatu stopnickiego od naleciałości endeckich i sanacyjnych. Po uzyskaniu niepodległości chłopi wybierają go prezesem powiatowym Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Henryk Podsiadło, to również ofiarny i niestrudzony działacz polityczny z okresu okupacji niemieckiej. Przewodniczący powiatowej „trójki" Rocha, później aresztowany, zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Cytowane dokumenty oraz sylwetki wymienionych osób mówią same za siebie, to też dalsze komentarze są już niepotrzebne.

(P-i)

Włostów

już się odbudował

Włostów nigdy nie należał do miejscowości bardzo znanych, nie miał nawet pretensji do tego. Położony w pozbawionym komunikacji zakątku sandomierskiej ziemi żył zamkniętym, mało ciekawym życiem prowincji.

Wojna trafiła w te okolice dopiero w ostatnim swym stadium. Ofensywa armii rosyjskiej, która oswobodziła wschodnią część Polski, zatrzymała się właśnie tu, dzieląc linią frontu miejscowość na połowę. Różnojęzyczne komunikaty wojenne wymieniały kilkakrotnie nazwę wioski, podobnie jak tyle innych nazw na długiej drodze do zwycięstwa. Mieszkańcy nie byli dumni z tej sławy, nie mieli kiedy. Częściowo wyginęli podczas działań wojennych, a częściowo rozproszyli się w wielomiesięcznej tułaczce. Ci, co później wrócili, zastali pola przeorane liniami okopów i obsiane gęsto minami. Dobytek ich uległ zniszczeniu. W gruzach legła także chluba całej okolicy — cukrownia włostowska.

Procent zniszczenia mierzy się podobno chęcią odbudowy. Dla przystępujących do pracy były to więc tylko drobne uszkodzenia, choć wartość ruin nie przekraczała pięciu setnych przedwojennych kosztów budowy. Resztę uzupełniło przywiązanie.

Dziwni są tutejsi ludzie. Dla kogoś, ktoby szukał normalnej, fabrycznej osady — nawet niezrozumiali. Bo to nie są robotnicy, tylko chłopi pracujący w fabryce. Uprawę roli zawsze uważają za swój właściwy zawód, nawet wtedy, gdy fabryka staje się głównym źródłem ich utrzymania. Sezonowość pracy fabrycznej wzmacnia jeszcze bardziej to przeświadczenie.

Gdy działania wojenne przeniosły się w inne okolice, z chłopskim uporem zabrano się do pracy. Odbudowę cukrowni uważali wszyscy za rzecz tak samo naturalną, jak obsianie zaminowanych pól. Nikt nie patrzył na procent zniszczenia i nie myślał, czy odbudowa się opłaci. Nie zastanawiano się nad ogólnokrajowym planowaniem.

Zbędne jest podawanie cyfr i dat przekraczanych terminów.

Minionej zimy rozpoczęła się pierwsza powojenna kampania cukrowni. Odbudowane magazyny zasypane zostały stertami buraków, kolejki wąskotorowe i błotniste drogi dostarczały codziennie setki ton surowca. Z elektrycznych wirówek zaczął się wysypywać jak przed wojną wilgotny jeszcze, lśniący, biały cukier. Fabryka ruszyła.

Sandomierskie pola słyną od wieków z pszenicy. Burak cukrowy nie tworzy szumiących łanów i nie zdążył jeszcze wejść do literatury, ale udaje się tu równie dobrze. Na rozpoczęcie pracy przez fabrykę czekała cała okolica. Dochody z plantacji pozwolą szybciej powrócić do życia zniszczonym terenom.

Przez Włostów przebiega stary szlak kupiecki. Dziś na wyboistej, zoranej gąsienicami czołgów szosie, panuje spokój. Tylko raz na dzień przebiega samochód PKS. Za kilka godzin będzie podobno w Warszawie. Warszawa dla wielu mieszkańców Włostowa jest odległym i niedostępnym źródłem, do którego musiał co pewien czas jeździć dyrektor fabryki po pieniądze na budowę.

Może w przyszłości ożywi się stary szlak i wpadnie nim nieco świeżego powietrza na tę pracowitą, a tak zabitą deskami prowincję. Na razie panuje cisza.

Janusz Bień

CZESŁAW WRÓBEL.

Zniszczona wieś pow. kozienickiego dźwiga się z ruin

Chcąc mieć wyobrażenie o terenie „przyczółkowym", o zniszczeniach jakie zostały spowodowane działaniami wojennymi, należy się zapoznać m. in. ze stanem inwentarza martwego i żywego, posiadanego przez rolników przed wojną i obecnie.

Wybieramy się tedy do którejkolwiek wsi, by te rzeczy zobaczyć na miejscu. Oto jesteśmy we wsi **Moniochy, gm. Mariampol.** Przechodząc przez tę wioskę, od razu widzi się, że tam po działaniach wojennych prócz zgliszcz, ruin, rozbitego sprzętu wojennego, min, drutów kolczastych, różnych dołów, drzew poharatanych przez pociski i szrapnele — nie pozostało nic więcej, a życie ludzkie musiało stąd uciekać.

Wiele trudu i wysiłku ponieśli mieszkańcy, by rozpocząć nowe życie. Szczególnie wielką trudność stanowiły miny, które pokrywały 40 procent całości powierzchni gruntów. W odminowaniu pól znaczną pomoc dali minerzy Wojska Polskiego. Chłopi również okazali się doskonałymi minerami i każdy na swoim gruncie pewną część min rozminował. Wypadków spowodowanych wybuchem min było 12, na skutek których 10 osób zmarło, a 2 osoby zostały kalekami. W ten sposób zdołano doprowadzić pola do użytku.

Z kolei każdy mieszkaniec wsi musiał stać się cieślą, stolarzem, murarzem, by zrobić dach nad głową i zamieszkać z rodziną. Przed wojną wieś posiadała 35 domów mieszkalnych, 34 budynki inwentarskie, 35 stodół i innych budynków 12. Wszystko to uległo zniszczeniu. A co jest obecnie? Rzecz jasna, do stanu przedwojennego nie prędko będzie można doprowadzić. Oto widzimy pogrodzone pod jednym dachem izby mieszkalne i stajnie. Stodół zostało pobudowanych 13, które częściowo są już obite deskami. Pożyczkę na odbudowę otrzymało 9 gospodarzy w rozpiętości sum od 10 tys. zł. do 40 tys. zł. Dobrze, że została uruchomiona cegielnia przez wydział powiatowy starostwa w odległości 4-ch klm., która będzie zaopatrywać teren zniszczony w cegłę.

Ciężko jest również z pogłowiem zwierzęcym. Przed wojną wieś posiadała 100 krów, po wojnie zostało 20, obecnie jest 40 krów. Przed wojną koni było we wsi 25, po wojnie 12, obecnie 17. Z dostaw UNRRA wieś otrzymała 3 konie i 1 krowę.

A teraz jeszcze kilka słów o gospodarstwach, o stosunkach rolnych. Ogółem wieś liczy 520 mórg, podrobionych pomiędzy poszczególnych gospodarzy. Gospodarstw od 1 ha do 3 ha jest 7, od 3 ha do 5 ha jest 6, od 5 ha do 8 ha jest 10. Przed wojną na tych karłowatych gospodarstwach żyło 240 osób, po wojnie 8 rodzin wyjechało na Zachód, kilka rodzin przeniosło się do innych miejscowości.

W takich oto warunkach żyje wieś Moniochy, wieś przyczółkowa. Wiadomo — jest tam ciężko, nawet bardzo ciężko, wiadomo, że jeszcze bardzo wiele trudu i wiele wysiłków będą musieli podjąć tamtejsi chłopi. Ale w tym nieszczęściu, jakie wieś dotknęło, nie pomogą narzekania i załamywanie rąk. Każdy o tym we wsi wie i dlatego pazurami wydrapuje się z ruin i zgliszcz i tworzy nowe swoje życie, życie wsi polskiej.

C. W.

Spółdzielnia zbytu inwentarza żywego

w Jędrzejowie

Powiat jędrzejowski ma stare tradycje spółdzielcze. To też nic dziwnego, że może się on poszczycić gęstą siecią różnych placówek spółdzielczych oraz wyrobionymi działaczami. Roboty na tym polu było zawsze dużo, gdyż nieomal całe życie gospodarcze wsi jędrzejowskiej zostało ujęte przez spółdzielczość.

W dniu 17 maja 1946 r. powstała w Jędrzejowie nowa ważna placówka spółdzielcza, a mianowicie Spółdzielnia Zbytu Inwentarza Żywego, obejmująca swą działalnością cztery powiaty: Jędrzejów, Pińczów, Busko, Kielce. Po załatwieniu spraw formalno-prawnych, w lipcu 1946 roku spółdzielnia rozpoczęła swą pracę.

Ta nowa jędrzejowska placówka spółdzielcza musiała pokonać wiele trudności, zanim w rodzinie spółdzielczej wywalczyła sobie odpowiednią pozycję. Ani zarząd, ani pracownicy spółdzielni nie mieli w tej branży doświadczenia, a przecież trzeba było szybko wchodzić na rynki zakupu i zapewnić dla spółdzielni zbyt. Ale jak się chłopi uprą, to i zrobią. Spółdzielnia zbytu inwentarza żywego ruszyła, okrzepła i dziś jest już poważną placówką handlową.

Od lipca 46 r. do 31 grudnia 1947 r. spółdzielnia zakupiła 12 tys. 179 sztuk świń i 1.054 sztuki bydła, na ogólną sumę 272 miliony 100 tysięcy złotych. Głównym odbiorcą jest wojsko oraz robotnicy różnych fabryk. Ostatnio spółdzielnia otwarła sklep z wyrobami mięsnymi w Jędrzejowie, który ma duże powodzenie.

Sporo kłopotu miała spółdzielnia z transportem. Początkowo wypożyczono dwa samochody ciężarowe z Rejonowej Spółdzielni w Radomiu. Dziś są już one spłacone, a ponadto kupiono jeszcze dwa, tak że obecnie dysponuje spółdzielnia czterema własnymi samochodami ciężarowymi.

Z przytoczonych przykładów wynika, że na rynku zwierzęcym spółdzielnia jest już najpoważniejszą placówką handlową.

Jan Jaszczykowski
Prezes Zarządu Pow. PSL
w Jędrzejowie

Zbójnik Swiętokrzyski

Da bracie mój bracie
Siubenicka na cie
Siubenicka stoi
Lo twoi swawoli
Oj da dana dana dana

Da zebym jo wiedzioł
Ze jo bede wisioł
Kazoł bem pozłocić
Siubienicke dzisioj
Oj da dana dana dana

Da zebym jo wiedzioł
O który godzinie
Kazoł bem pozłocić
Od nieba do zimie
Oj da dana dana dana

Da moje siostrzycki
Sprzedajta kunicki
Wykupta braciska
Od ty siubienicki
Oj da dana dana dana

Z KIELECKIEJ OSWIATY i KULTURY

WAYS ANTONI
Prezes Zarządu Pow. PSL pow. Iłżeckiego.

Gimnazjum wiejskie w Siennie

Jeszcze ludzie nie ochłonęli z doznanych wrażeń i przeżyć spowodowanych burzą wojenną. Jeszcze na każdym kroku widać było ślady niezatartych zniszczeń i krwawych ran spowodowanych przejściem hitlerowskich barbarzyńców. Jeszcze niejedno serce nie uspokoiło swego przyśpieszonego bicia. A oto zbiera się grupka ludzi dobrej woli, ludzi, którym niedalekie są chłopskie dzieci i organizują gimnazjum wiejskie. A że na wsi są wielkie zaległości do odrobienia, więc od myśli do czynu droga nie może być daleka.

Dnia 15 lutego 1945 roku, a więc zaledwie w 4 tygodnie po ucieczce „narodu panów" — powstaje w Siennie, pow. iłżeckiego gimnazjum ogólnokształcące i liceum humanistyczne. To nic, że brak jest pomieszczeń, to nic, że brak jest podręczników a nawet zeszytów.

Wiosennym rankiem drogi i drożyny wiejskie pełne są młodzieży ciągnącej do Sienna, do gimnazjum. To nic, że liche ubranie i dziurawe buty, to nic, że uczeń musi przynieść stół i ławkę, ale w sercu radość, że głód wiedzy zostanie zaspokojony.

To radość 250 uczniów i uczennic, to radość o wiele większej liczby rodziców, to radość wielkiej gromady ludowców.

Narodzenie tej szkoły witają wszyscy z uznaniem i chęcią pomocy. Osada Sienno oddaje dla szkoły 14 mórg ziemi jako teren pod budynek, boisko i ogrody. Ministerstwo Oświaty daje subsydium, spółdzielnia, samorząd gminny i powiatowy idzie w jego ślady, rodzice uczniów dają swoją pracę. W 1947 roku powstaje barak o 8 wykończonych salach jako tymczasowy budynek szkolny. Powstaje biblioteka uczniowska składająca się z 2000 tomów, biblioteka nauczycielska z 200 tomów i część urządzeń do gabinetu fizycznego.

Zadawałoby się, iż nikomu to nie przeszkadza, że już 87 uczniów ukończyło gimnazjum, kilkudziesięciu liceum, a ogólna liczba uczniów podniosła się do 350. Kierownictwo szkoły czyni wielkie wysiłki, by zagospodarować zakład, podnieść stan kwalifikowanych nauczycieli, podnieść poziom naukowy i wychowawczy szkoły. Zdawałoby się, że wszyscy i zwolennicy i nawet przeciwnicy obecnego systemu rządzenia są zadowoleni, że chłopskie dziecko spychane dotąd z wyższego szczebla drabiny społecznej ma możność uczyć się w gimnazjum.

— — — — — — — — —

A jednak... Jak grom spadła wiadomość, że kilkunastu uczniów zostało aresztowanych za udział w 17 napadach zbrojnych. Komuś dobro tej młodzieży nie leżało na sercu, ktoś wykorzystał naiwność dziecięcą i jej gorący zapał. Ktoś zbrodniczą swoją działalność oparł na dzieciach dopiero rozbudzonych do życia i wmówił im, że rabowanie dobra publicznego, to dla dobra Polski. Ktoś, komu Polska Ludowa nie dogadzała, ktoś, co przy ognisku oświaty chciałby posadzić innych synów z dobranego reakcyjnego środowiska. Ktoś, komu się śnią i małe cugi i kontusze. Ktoś, kto chłopa chce wypędzić do wideł i gnoju...

— — — — — — — — —

Surowe, ale sprawiedliwe są wyroki Rzeczypospolitej. Gimnazjum nie zostało zamknięte, a tych kilkunastu zbłąkanych, daj Boże, by mogło jeszcze kiedyś służyć Ojczyźnie umiłowanej nade wszystko.

W. A.

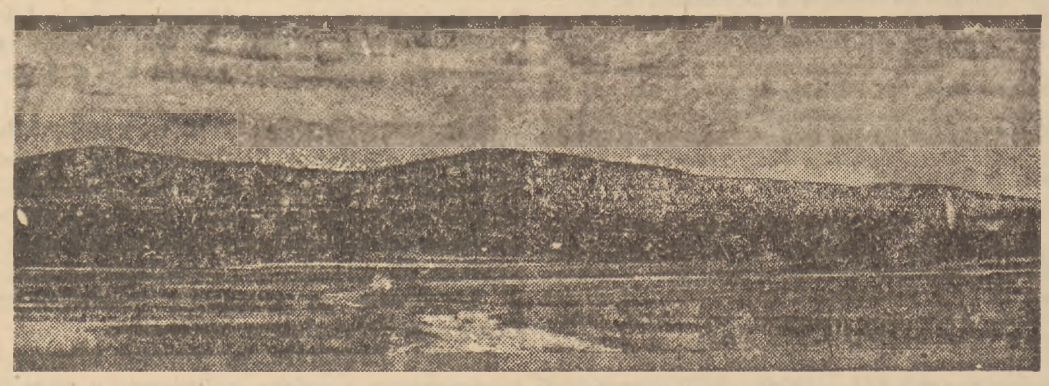

Widok ogólny na Góry Świętokrzyskie z szosy kielecko-lagowskiej

Państwowe Kursy Pedagogiczne w Iłży

Kiedy otrzymałem z Kuratorium Okręgu Szkolnego Kieleckiego polecenie zorganizowania przy Miejskim Gimnazjum Koedukacyjnym w Iłży Państwowych Kursów Pedagogicznych, nie wiedziałem, czy przyśpieszona forma kształcenia nauczycieli rozwinie się i czy w ogóle się uda. Opinia najbliższych nie wróżyła powodzenia, a było wielu takich, którzy z góry przesądzali możliwość powstania takiej placówki oświatowej, ewentualnie rokowali jej krótki i smutny żywot.

Istotnie trudności było wiele. Brak nauczycieli, brak pomieszczenia na wykłady i zakwaterowanie uczniów, nie mówiąc już o podręcznikach i pomocach naukowych, nie rokowały powodzenia.

Wiadomość o projektowanym kursie podana została młodzieży w okólniku „Wici", specjalnych ogłoszeń nie robiliśmy. Otwarcie kursu wyznaczyliśmy na 4-go maja. W dniu tym, ku ogólnemu zdziwieniu, napłynęło aż 56 młodzieży obojga płci. Musieliśmy zrobić egzamin wstępny, bo młodzież w podaniach i życiorysach narobiła tyle błędów, że strach nas przejął na myśl, że z tak przygotowanym elementem mamy przerobić w ciągu 2 lat 4 klasy gimnazjalne.

Na egzaminie odpadło kilkoro. Jednocześnie z pobieżnie zawartej znajomości zorientowaliśmy się, że sama ilość ukończonych oddziałów czy klas nie świadczy o poziomie i przygotowaniu. Niektórzy uczniowie po ukończeniu 5-ciu oddziałów wykazali większy zasób wiadomości, niż ci, co ukończyli 2 klasy gimnazjum. Trochę na własne ryzyko przyjąłem dziewczynę po 4 klasach szkoły powszechnej i półrocznym kursie Uniwersytetu Ludowego w Krzyżanowicach, której nie mogłem się pozbyć, bo aż trzy razy przychodziła z o 25 klm. odległej Ostrownicy dowiadywać się, „kiedy te kursy się rozpoczną". I nie zawiodłem się na niej. W drugim okresie wyrównała braki, a przy końcu roku należała już do lepszych uczennic.

Młodzież zebrała się z całego powiatu — w 90 proc. chłopska, a w 10 proc. robotnicza i miejska. Wzięła się ochoczo do pracy i z podziwem obserwowaliśmy jej pracowitość, żywiołową jakąś chłonność i łapczywość wiedzy. Większość z nich to bechowcy, jak Sońta Janina, Gregorczyk, Piasek, Leśkiewicz, Kaczor, kilku członkowie A. L. jak Szwagierek, i Iwan Kazimierz, i kilku akowców. Dziwiliśmy się niekiedy, jak szybko ta młodzież dojrzała, przestawiła się z partyzantki na pozytywną pracę dla dobra swojego i narodowego.

Życie się młodzieży nastąpiło bardzo szybko. Po 2 miesiącach kurs stanowił zorganizowaną grupę, żyjącą w atmosferze rodzinnej. Młodzież uświadomiła sobie jasno cele jakie przed nią stoją. Z trudu, krwi i łez powstała nowa Polska! Odbudować ją i utrwalić demokratyczne zdobycze może tylko światły i świadomy obywatel. Będziemy nauczycielami, bo szkoła bardzo ich potrzebuje. Aby uczyć, sami musimy wiele umieć — uczmy się więc i wyrabiajmy.

Praca na kursie potoczyła się składnie. Zostało skompletowane grono nauczycielskie pełne zapału i poświęcenia. Młodzież zorganizowała samorząd uczniowski, spółdzielnię uczniowską, Koło „Wici", bibliotekę kursową.

Wyniki pracy przy końcu roku (czerwiec 1947) szkolnego mieliśmy imponujące jak na warunki iłżeckie. Ogółem na kursie było 68 młodzieży, rozdzielonej na poziom wyższy i niższy. Z 34 uczniów poziomu wyższego zdało małe matury 28. Poziom niższy przepracował program 1 i 2 klasy i przeszedł na poziom wyższy. Zdobyliśmy oddzielne budynki na internat dla chłopców i dziewcząt, umeblowaliśmy świetlicę, zakupiliśmy niezbędne sprzęty do kuchni internackiej itp.

W pracy nie mieliśmy większych przeszkód, szli nam wszyscy na rękę. Specjalną wdzięczność należy wyrazić ob. Wojewodzie Kieleckiemu Wiśliczowi, który, przydzielając kursom subsydium w sumie około 100 tys. zł., dopomógł nam zorganizować internat i w 30 proc. zwolnić zupełnie z opłat za utrzymanie w internacie biedną a zdolną młodzież.

W okresie twardej zimy 1946 r. ratował nas skutecznie od zmarznięcia ob. Starosta Powiatowy Chomań Tadeusz, przydzielając subsydium 10 tys. zł. na kupno i sprowadzenie węgla. Młodzież tylko wie, jak na czasie była ta pomoc. Również należy podkreślić wielką troskę jaką wykazało Kuratorium Kieleckie oraz miejscowe społeczeństwo iłżeckie.

Młodzież dzisiaj z wdzięcznością wspomina tych wszystkich, którzy umożliwili jej naukę w szkole, zatrzeć wytężoną pracą koszmarne wspomnienia okupacji hitlerowskiej i poświęcić swe młode siły w służbie Narodu i Państwa. Dziś około 36 młodzieży już uczy w szkołach, drugie około 36 zdaje w czerwcu małą maturę i około 30 kończy program I i II kl. gimnazjum. Razem około 100 młodzieży powiatu iłżeckiego skorzystało z dobrodziejstwa, jakie jej dała Polska Ludowa, umożliwiając zdobycie dzieciom chłopskim wykształcenie.

Jan Gruszka
b. kierownik Kursów

Kielecczyzna w twórczości Żeromskiego

Powszechnie wiadomą rzeczą jest, że Stefan Żeromski ukochał głęboko kraj rodzinny, tę najbliższą ojczyznę, skąd pochodził — ziemę kielecką. Z tego przywiązania zrodziła się przyjaźń serdeczna i zrozumienie dla ludzi tych stron, zachwyt nad pięknością krajobrazów i przyrody świętokrzysko-kieleckiej.

Gdy opuścił na zawsze w 1897 roku Kielce, marzył o tym, by powrócić do rodzinnego zakątka, by jako nauczyciel na wsi nie tracić kontaktu z chłopem podkieleckim, by móc pracować w ukochanym środowisku wśród piękna podgórskiego kraju. Charakterystycznym jest, że sam pisarz zdaje sobie sprawę z niemilknącego wpływu tej ziemi.

„Kto wie — pisze do Oktawii, późniejszej swej żony — czy właśnie taki kraj nie wywarł tajemnego wpływu na mój charakter — tak samo jak taki krajobraz nie dający się pochwycić, określić, powyginany, półdziki, ponury i czegoś niezmiernie smutny".

Jeden z krytyków pisze o Żeromskim: „Jak dziecko sukni matki się trzyma, jak człowiek nieśmiały od pieca taniec zaczyna, tak on poczynał swoje dzieła od westchnienia do puszczy jodłowej".

W licznych powieściach i nowelach ze znawstwem i miłością opisuje krajobrazy z terenu Kielecczyzny. Lasy i góry wspaniałym piórem pisarza skreślone zdają się żyć, szumieć i zachwycać swym pięknem. Widoki z gór okolicznych raz po raz przewijają się na kartach jego ksiąg. Dalekie, w szachownicę ułożone pola rozległe łąki pełne kwiecia drobiazgowo opisane — są ulubionym motywem pisarza. Nida „ukryta w wysokich obu brzegach wysłanych rudą murawą, zataczając się niezliczonymi półkulami, które tworzyły długi szereg półwyspów, rzeka biegła bystrym i czarnym nurtem" — ta Nida jest tytułem „Wiernej rzeki" — a i w innych utworach niejednokrotnie do niej powraca.

Śpiew ptaszka przypomina mu strony rodzinne. I poeta mówi:

„Śpiewaj jeszcze przez jedną chwilę ptaszeczku leśny o domu, rzece i zaroślach dzieciństwa".

Jakże też często opisuje kwiaty gór ojczystych: leśne kosaćce, ulubione koniczyny, macierzankę, a lilia leśna taki widok przedstawia:

„Lilią leśna, złotogłów, stoi wysoko, na brzegu ponad czystym strumieniem. Stopki jej cebulaste ziębną w chłodzie urwiska. Korzeń szczerozłotem odziany pije z głębin mocny trunek żywota. Kwiaty nad żywą wodą zwieszone jej jednej wodzie żywej dają oglądać wnętrze strony szkarłatem wysłanych kielichów. Głęboko, jasno, długo jak gdyby nienasycone własnej piękności doskonałym czynem, jak gdyby usiłujące same siebie drugi raz odtworzyć, kształt swój powtarzają i kolor".

Tak pięknie o drobnym kwiecie, ale o królewskich jodłach i bukach w puszczy świętokrzyskiej, niemniej pięknie i z wielką siłą uczucia wypowie się Żeromski:

„Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami, jakoby wieże strzeliste, niewyprowadzone do samego krzyża. Ich pnie siwawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzymich gałęzi. Wzróślszy między głazy w niezmierną ławicę skalisk aż do gruntowej posady serdecznym korzeniem wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jodły chwiały królewskie swe szczyty w przeciągu niejednego już wieku między mgłami Łysicy", obok „olbrzymi buk stoi samotny, twardy i zimny jakby nie należał do drzew. Król na Łysicy. Pustki wszędy, niwki, wsie.., daleko za ostatnim wzgórzem łańcucha, za Stróżną ciągną się w poprzek role aż do Krajna, aż na szczyt góry Kamienia".

Te fragmenty przytoczone tutaj są drobnymi okruchami wspaniałych opisów wsi, przyrody i krajobrazów — które tak często przewijają się: w „Ludziach bezdomnych", „Wiernej rzece", „Popiołach", „Walgierzu Udałym", „Echach leśnych", „Syzyfowych pracach", itd.

Środowisko stron rodzinnych, społeczeństwo miasta i wsi doskonale scharakteryzował Żeromski w swej twórczości. I to zarówno ludzi najdawniejszych czasów aż po ostatnie lata. Jednak z wielką miłością, współczuciem i z doskonałą znajomością kreśli sylwetki chłopów podkieleckich.

Już 1925 r., w roku swej śmierci wpisał 2 listopada do albumu p. K. Olchowiczowej:

„W moich stronach rodzinnych (w górach świętokrzyskich) jeżeli kto odchodzi w daleką drogę, żegna tego co pozostaje, życzeniem: „ostań z Bogiem", a tamten wzamian prowadzi go życzeniem: „idź z Bogiem". Szkoda, że tego miłego towarzysza wędrówki nie życzą sobie nawzajem ludzie miejscy, pośpiesznie biegający po zawiłych szlakach kamieni".

Osobne też miejsce znalazł w jego utworach biedny chłop podkielecki. Opisał Żetamtejsi uprawiali rozmaite kunszta. romski jego sposób bycia, stroje. Na polankach wśród lasów stoją sioła zamieszkiwane przez rolników. Nie wystarczały zbiory z lichych gruntów, „toteż chłopi Wszyscy prawie byli kłusownikami, wielu wyrabiało potajemnie gonty, inni trudnili się struganiem łyżek, solniczek, szaf, skrzynek, grabi, wideł, kluczów drewnianych do chat" itd. A do narzeczonej swej pisał Żeromski z głębokim smutkiem o biedzie podkieleckich chłopów:

„Ale szkół tam żadnych nie ma. Ludzie żyją kartoflami przez trzy czwarte roku, a przez kwiecień, maj i czerwiec do nowych kartofli i żyta — siekanką z pokrzyw, lebiody, kory olszowej z mąką i mlekiem. Niektórzy zbierają ziarna manny

rosnącej po łąkach. Wyłupują rdzeń soczystych wodnych tataraków i zasuszywszy go mielą na mąkę, gniotą kluski i jedzą z mlekiem".

Ale mimo biedy lud podgórski jest żywy, wesoły, malowniczo ubrany.

W „Urodzie życia" jest opisany strój:

„Ludzie szli na nabożeństwo — chłopi w brunatnych sukmanach do samej niemal ziemi, w ciężkich butach i nie lżejszych kapeluszach, kobiety i dziewczęta w chustkach i spódnicach tak barwnych, że aż oczy bolały. Całe ich kolorowe rojowisko z gwarem krążyło pod murowanymi bramami kościelnego cmentarza".

Zarówno w „Popiołach" jak w nowelach „Wszystko i nic", „Echa leśne" jak utworach z lat późniejszych „Syzyfowe prace", „Uroda życia", „Promień", „Dzieje grzechu" — zawsze Kacpry, Michciki, Maćki, Radki — mają zasadniczą rolę. Podkreśla Żeromski wierność i zrozumienie sprawy polskiej, zręczność i spryt kieleckiego chłopa.

W „Wiernej rzece" występuje bezimiennie świętokrzyski chłop, pomagający powstańcom w 1863 r. O nim to pisze Żeromski:

„w jego bowiem okolicy ludzie wierzyli swoim i na polską patrzyli stronę — pomagali w przeprawach, ukrywali rannych, a nawet sami co młodsi, a ognistego ducha z partią chodzili".

A jaki piękny typ przedstawia Oset z „Róży" — chłop podkielecki umęczony w 1905 r. Oto jego słowa ostatnie: „Dopraszam się łaski... jako, że już z tego miejsca nie wyjdę. Syna mam, chłopaka małego, Michałka. Jedenaście mu lat. W Kielcach we fabryce się spytać. Więc polskie ludzie obecne proszę i przez Polską mowę zaklinam — żeby zaś na szpicla nie wyszedł". Od dzieciństwa zetknąwszy się z biedą ludu podkieleckiego bolał Żeromski nad jego trudem i nędzą. Poświęcił więc mu głośny utwór „Słowo o bandosie", gdzie pisze:

„W podgórskich kamienistych działkach kieleckich hoduje się dola bandosa". Gdy przenówek — bandos wędruje za Pilicę a „w pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła, kudłata babka, kościawiec, niemowa lub obłąkana latawica". „Ciemne chaty z nisko zwisłym czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciądz bukowy zostają same". — Pisze także o tej niedoli w „Śnie o chlebie" i w obrazku „Zemsta jest moja".

Żeromskiego cechuje nie tylko współczucie głębokie, ukochanie ludzi wsi — ale także chęć poprawy ich bytu, ich losu. Wskazówki, próby reformy, utopijne projekty pisarza pochodziły w jego dziełach stąd, że nie znikła z jego świadomości aż do ostatnich chwil życia myśl o biedzie świętokrzyskiego, podkieleckiego chłopa.

Dzięki temu silnemu związkowi z wsią podkielecką zachował Żeromski w pamięci i wykorzystał w twórczości baśnie, legendy i podania tutejszych ludzi, ponadto posługiwał się gwarą ludu świętokrzyskiego, którą cenił bardzo uważając ją za rdzennie polską i czystą. W 1916 r. pisze o tym w artykule:

„nie ukułem własnego wyrazu nigdy ani jednego. Jeżeli wprowadziłem mało znane i obco brzmiące w wyślizganym ubogim gazeciarskim języku miejskim, to są to twory staropolskie albo ludowe. Niektóre z ostatnich można znaleźć w „Materiałach do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc zebranych przez ks. Siarkowskiego Wł. — inne zapamiętałem i przyswoiłem sobie za czasów dzieciństwa i młodości. W górach Świętokrzyskich i otaczającej je leśnej krainie, dzielącej ongi ziemie Wiślan i Mazowszan, dochował się w najczystszej swej formie, piastowski język polski, gdyż nie podlegał nigdy żadnym znikąd naleciałościom postronnym".

Używa nazwisk wieśniaków podkieleckich: Cedro, Michcik, Obara, Piątek, Radek, Pulut, Zalesiak, Zagozda — lub też od nazw wsi i gór: Cickocki od Cickot, Cedzyna od Cedzyny, Radostowiec od Radostowej. Chętnie używa porównań: „Ściął on se jedlicę tylą, co wieżę na Świętym Krzyżu", gdzie indziej — „Wolski ponury jak wieża w Chęcinach" itp.

Te wszystkie uwagi nie wyczerpują zagadnienia wsi kieleckiej w twórczości Żeromskiego. Mogą posłużyć jako przypomnienie o wielkim związku pisarza z Kieleccyzną, o wpływach nie tylko krajobrazu i przyrody wsi kieleckiej na piękno opisów w jego twórczości — ale przede wszystkim uwagi te mają przypomnieć to, co miał Żeromski po wszystkie lata swego życia dla chłopa kieleckiego — miłość i zrozumienie.

M. S.

W Sandomierskim powstał Uniwersytet Ludowy

Zaraz po wyzwoleniu powiatu sandomierskiego przez Armię Czerwoną zaczęli miejscowi działacze oświatowi zabiegać o stworzenie Uniwersytetu Ludowego, uznającego tradycję Ignacego Solarza, pamiętnego twórcy Szyc i Gaci Przeworskiej. Organizowanie uniwersytetu było już na dobrej drodze, piękny ośrodek pałacowy w Łoniowie został upatrzony na ten cel i umówiony kierownik, już prasa centralna (podówczas lubelska) zaczęła sygnalizować ten przejaw budzącego się życia kulturalnego wśród mas wyzwolonego chłopstwa, niestety, ciężkie warunki życia na ówczesnym przyczółku, kwaterunki wojskowe i ewakuacja ludności przyfrontowej rozchwiały daleko już posunięte prace, zaś późniejsze ruszenie frontu rozproszyło i ludzi. Trzeba było na nowo zaczynać. Inicjatywę wziął w swoje ręce powiatowy zarząd Tow. Uniwersytetu Ludowego, skupiający najwybitniejszych w tutejszym środowisku działaczy. Upatrzony na kierownika uniwersytetu Marian Forc, rodem ze wsi podsandomierskiej, nauczyciel o wybitnych kwalifikacjach zawodowych i energiczny organizator, poświęcił nie mało czasu i wysiłku, aby celu dopiąć i jesienią 1947 roku zacząć pracę w nowo utworzonej chłopskiej uczelni. W malowniczo położonym pałacu (dawniej Karskich) w Górkach pod Klimontowem robiło właśnie kierownictwo ostatnie przygotowania na uroczyste otwarcie pierwszego kursu, gdy spadło nieszczęście. Niemal w przeddzień inauguracji prac wybuchł nagle w nocy pożar i strawił doszczętnie cenny budynek. Zdawało się, że sprawa uniwersytetu znowu się odwlecze do nieokreślonego czasu, zanim jakieś subwencje i 3-milionowa kwota asekuracyjna pozwolą na odbudowę gmachu. Na dobro kierownika uniwersytetu i blisko z nim współpracującego zarządu powiatowego. T. U. L. trzeba zapisać, że nie cofnęli się przed trudnościami i swego dopięli: Uniwersytet Ludowy w Górkach został stworzony.

W cieniu pogorzeliska, w budynku dawnej służby dworskiej wyporządzono i estetycznie ozdobiono i umeblowano salę wykładową, świetlicę, jadalnię i 3 pokoje sypialne; wiele rzeczy sporządzono we własnym zakresie siłami pierwszych wychowanków; kierownik zaangażował jako wykładowców 3 okolicznych nauczycieli wyróżniających się uzdolnieniem do pracy w tego typu uczelni; pomocy materialnej udzieliło T.U.L., kuratorium kieleckie i wydział samorządowy sandomierski; w przyszłości uniwersytet będzie miał główne oparcie materialne w ośrodku gospodarczym (60 ha pola, łąk, stawów i ogrodów).

W niedzielę, 21 marca b. r. Uniwersytet Ludowy w Górkach został uroczyście otwarty. Ta pamiętna dla powiatu, kierownictwa uniwersytetu i pierwszych 25 jego wychowanków uroczystość odbywała się w bardzo serdecznej atmosferze. Przybyło dużo gości: starostowie sandomierski i opatowski, przedstawiciele województwa, powiatowy zarząd T.U.L. w pełnym składzie, oświatowcy, działacze polityczni, gromady młodzieży Wiciowej, rodziny słuchaczy i cała okolica. Wszystkich na wstępie powitał dzielny kierownik Forc w słowach, w których pobrzmiewała nuta radości, że oto idea uniwersytetu ludowego przybrała nareszcie kształt wymarzony przez światlejsze środowiska sandomierskich chłopów. Wszyscy mówcy zabierający powitalny głos (starosta W. Tomaszewski, dyr. P. Sarzyński, insp. W. Pałacha i liczni inni) podnosili rolę i znaczenie uniwersytetu jako ośrodka kulturalnego, promieniującego na całą okolicę, jako czynnika wychowawczego wśród młodego pokolenia chłopów, jako ogniska, które swym istnieniem zaświadczy o duchowych walorach mas chłopskich. Artystyczną oprawą przemówień były recytacje i śpiewy chóralne — pierwsze zbiorowe występy publiczne pierwszych wychowanków uniwersytetu góreckiego. Wspólny obiad, który upłynął w miłym, ożywionym i przyjacielskim nastroju, zakończył uroczystość. **(wb).**

MARIAN ORZESZEK.

Kielecczyzna na drogach odbudowy książki polskiej

Zaznajomienie szerokiej opinii publicznej z cyframi obrazującymi stan odbudowy książki jest rzeczą ze wszech miar pożyteczną i ciekawą. Ograniczymy się jedynie do podkreślenia tego, co każdy snadnie może zaobserwować: oto porównując wy-

Wiosna na wsi podkieleckiej

stawy i półki księgarń i bibliotek w pierwszym roku istnienia Polski Odrodzonej ze stanem, jaki dzisiaj możemy wszyscy oglądać, nawet najbardziej czarno patrzący na życie musi w imię prawdy przyznać, iż w krótkim czasie dokonano bardzo wiele. Osiągnięcia wyrażają się ilością ponad 3000 tytułów książek wydanych po wojnie. Przyjmując, że każda nowa książka wydana została w nakładzie 7000 egzemplarzy, otrzymamy wcale pokaźną ilość tomów.

Na podkreślenie wszakże zasługuje zwłaszcza fakt wydania t. zw. Ustawy Bibliotecznej z dn. 17 kwietnia 1946 roku. O tę ustawę toczyła się długotrwała i bezskuteczna zresztą walka w Polsce przedwrześniowej. Ustawa nie mogła się „urodzić", mimo iż każdy myślący człowiek zdawał sobie sprawę z tego, że ustawa ta stanowi podstawę wszelkiego działania w zakresie upowszechnienia książki i przybliżenia jej do człowieka.

Na czymże polega doniosłość tej ustawy?

Przytoczymy odpowiednie teksty, które najlepiej uwyraźnią wielkość dzieła. Oto art. 2 Ustawy Bibliotecznej głosi:

„Celem prowadzenia w społeczeństwie jednolitej działalności kulturalnej za pomocą książki i bibliotek oraz umożliwienia każdemu obywatelowi korzystania ze zbiorów bibliotecznych całego kraju tworzy się ogólnokrajową sieć bibliotek publicznych, utrzymywanych przez państwo lub inne związki publiczno-prawne".

A w dalszym ciągu, w art. 10 czytamy:

„Do zakładania i utrzymywania publicznych bibliotek powszechnych obowiązane są właściwe związki samorządowe".

Art. 11 ustawy mówi:

„Coroczne świadczenia Państwa na rzecz samorządowych bibliotek publicznych wynosić będą co najmniej 25% łącznych wydatków wszystkich związków samorządowych na zakładanie i utrzymywanie ich bibliotek, poniesionych w poprzednim roku budżetowym".

Te sakramentalne jakby, urzędowe słowa ustawy regulują od podstaw los książki w Polsce, zmieniają w sposób zasadniczy tor, po którym toczyć się będzie dzieło demokratyzacji kultury. Od przypadkowego działania, warunkowanego dobrą wolą, możliwościami gospodarczymi, a zwłaszcza siłą nabywczą człowieka pracy, przeszliśmy do działania celowego, opartego na przemyślanym planie. Marzenie wieszcza, by książki dotarły pod strzechy — staje się w Polsce faktem.

Zbędnym byłoby rozwodzić się nad tym, że Ustawa Biblioteczna posiada specjalne znaczenie dla wsi, pozbawionej szerokich możliwości korzystania z dorobku kultury ogólno-narodowej.

Za ustawą, za słowami— przyszedł czyn. Oto w województwie kieleckim, tym najbardziej chyba w Polsce upośledzonym województwie — rozpoczęto realizację Ustawy Bibliotecznej.

W Kielecczyźnie mamy 236 gminnych bibliotek (z ilością książek w każdej co najmniej 536 tomów), 11 bibliotek powiatowych (od 2.400 do 6.000 tomów książek), oraz bibliotekę wojewódzką z 30.000 tomów książek. Oczywiście książki pochodzą z zakupów obecnie czynionych. Biblioteki posiadają odpowiednie pomieszczenia i są obsługiwane przez specjalnych bibliotekarzy.

Można ze słuszną dumą stwierdzić, że wkład Kielecczyzny w odbudowę kapitału książki polskiej jest imponujący.

Oczywiście, mamy świadomość, że wyżej przytoczone cyfry — są cyframi początkowymi w ogólnym wysiłku odbudowy. Skoro jednak na przestrzeni trzech lat województwo najbardziej w Polsce zniszczone zdobyło się na tak imponujący wysiłek, to ten fakt jest wskaźnikiem, na podstawie którego można wnioskować, iż w miarę poprawy warunków gospodarczych realizacja w dalszym ciągu Ustawy Bibliotecznej postępować będzie w tempie i rozmiarach bardziej zwiększonych.

Zdajemy sobie jednak sprawę, że ani Państwo ani samorząd, które to czynniki z mocy ustawy są powołane do stworzenia i prowadzenia sieci bibliotecznej, nie wykonają za nas pracy rysującej się w dalszym etapie. Chodzi o najwłaściwsze wykorzystanie bibliotek, o poszanowanie książki, o jej jak najpełniejsze upowszechnienie. Chodzi i o to również, że nie wolno ograniczać się do podziwiania olbrzymiego wysiłku Państwa i samorządu w akcji upowszechniania książki. Równolegle musi nastąpić odruch nas samych. Mamy na myśli zarówno opiekę nad książką biblioteczną sprawowaną przez Gminne Komitety Biblioteczne, powoływane przez Rady Narodowe z mocy samej ustawy, jak i tę nieprzepisaną prawem opiekę każdego świadomego chłopa.

Mówiło się głośno przed wojną o głodzie książki na wsi; pamiętamy z okresu roboty konspiracyjnej ten przedziwny pęd do książki przenoszonej ukradkiem od wsi do wsi, dostarczanej z dużym poświęceniem w specjalnych kompletach przez komórki Rocha i ogniwa konspiracyjnej organizacji oświatowej; mamy w świeżej jeszcze pamięci fakt masowego czytelnictwa prasy konspiracyjnej — której zawsze brakowało, mimo że na terenie wojew. kieleckiego poza prasą centralną Rocha ukazywało się ok. 10 terenowych pism konspiracyjnych Ruchu Ludowego. Głód słowa drukowanego panujący na wsi nigdy nie był i nie jest jeszcze dziś zaspokojony. Jesteśmy więc spokojni o los książek oddanych do użytku wsi w bibliotekach gminnych. Natomiast chmemy jak najgłośniej mówić o tym, że wysiłki Państwa i samorządów nie zamykają sprawy. Chłopi muszą sami zacząć kupować książki. Jeśli ktoś w tym miejscu spróbuje poddać ten mus w wątpliwość, tłumacząc brakiem pieniędzy, to pozwolimy sobie odesłać go do biur Społem, czy hurtowni PMS: niechaj zaznajomi się z cyframi miesięcznych obrotów uzyskanych ze sprzedaży wódki. Gwarantujemy, iż wówczas cała jego argumentacja na temat braku pieniędzy natychmiast się rozwieje jak dym.

Nie chcemy upraszczać sprawy — jest ona za bardzo skomplikowana, by ją można przecinać jednym, choćby najbardziej przekonywującym argumentem. Pragniemy jednak zaznaczyć, że o ile w dziele odbudowy książki w Polsce oraz jej upowszechnienia na przestrzeni trzech lat dokonano wiele, to wcale nie znaczy, że można spoza sobów tomów książek spoglądać triumfalnie i osiąść na laurach. Trzeba sobie powiedzieć szczerze, że praca jaka pozostała do wykonania w zakresie odbudowy i upowszechniania książki będzie udziałem nie tylko naszego pokolenia, ale i pokoleń następnych. Muszą w niej wziąć jak największy udział wszyscy ludzie myślący i dobrej woli.

M. O.

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO KIELECCZYZNY

Jak wiążę koniec z końcem w swoim gospodarstwie?

Chłop na swym gospodarstwie buchalterii nie prowadzi. To też na temat dochodowości gospodarstw rolnych zdania są mocno podzielone. Przy prostowaniu niesłusznych opinii zawsze mi brakło rzeczowych argumentów i to skłoniło mnie do prowadzenia szczegółowych zapisków we własnym gospodarstwie.

Posiadam gospodarstwo rolne o powierzchni 6½ ha ziemi ornej na Powiślu powiatu opatowskiego. Rodzina moja składa się z 7 osób, w tym czworo dzieci — najstarsze 9 lat.

W roku sprawozdawczym inwentarz żywy składał się: z 1 konia, 2 krów, 1 jałówki, 1 maciory, 4 świń, 20 kur, 1 koguta i 40 kurcząt.

Inwentarz martwy stanowił: wóz, sanie, pług, kultywator, brona, radło, wialnia, kierat, młockarnia i sieczkarnia.

Zabudowania składają się: z domu mieszkalnego, obory, stodoły i szopy.

W okresie sprawozdawczym zasiałem i zasadziłem: żyta 100 arów (1 hektar), pszenicy 50 arów, jęczmienia 80 arów; owsa 100 arów, ziemniaków 100 ar., buraków pastewnych 25 ar., buraków cukrowych 25 ar., koniczyny i wyki 80 ar., prosa 10 ar., fasoli 10 ar., rzepaku 10 ar., zasadzony sad i warzywnik 50 ar., pod zabudowania 10 ar. — razem 6½ ha.

Zbiór oraz wartość pieniężna zebranych ziemiopłodów według przeciętnych cen wolnorynkowych wynosi:

żyta	1.500.—	kg	Zł 45.000.—
pszenicy	600.—	„	„ 30.000.—
jęczmienia	1.000.—	„	„ 30.000.—
owsa	1.300.—	„	„ 36.000.—
ziemniaków	16.000.—	„	„ 80.000.—
buraków past.	8.000.—	„	„
buraków curk.	5.000.—	„	„ 25.000.—
prosa	120.—	„	„ 4.800.—
fasoli	150.—	„	„ 5.250.—
rzepaku	70.—	„	„ 5.600.—

koniczyny i wyki 5 wozów (około 30 m) na pasze dla bydła.

Razem zł 261.650.—

Ogólny zbiór warzyw: cebuli, pomidorów, kapusty wczesnej i późnej, buraczków, marchwi, ziemniaków wczesnych itp. w przeliczeniu na pieniądze zł 57.000.—

Roczny przychód z hodowli:

4 świnie po 125 kg	wartości zł	80.000.—
mleko od 2 krów 3.600 l wart.	„	72.000.—
jajka od 20 kur 1.800 szt.	„	10.800.—
od 1 maciory w ciągu roku 16 prosiąt	„	18.000.—
Razem	zł	180.800.—

Zestawienie rocznych przychodów:

Z ziemiopłodów i zboża	zł	261.650.—
z warzyw	„	57.000.—
z hodowli	„	180.800.—
Razem	zł	499.450.—

Poszczególne wydatki w ciągu roku przedstawiają się następująco:

Na obsianie i obsadzenie 6½ ha zużyłem:

żyta	200.—	kg	wart. zł	6.000.—
pszenicy	100.—	„	„ „	5.000.—
jęczmienia	160.—	„	„ „	3.200.—
owsa	200.—	„	„ „	6.000.—
ziemniaków	1.500.—	„	„ „	7.500.—
prosa	3.—	„	„ „	120.—
fasoli	15.—	„	„ „	520.—
rzepaku	2.—	„	„ „	160.—
koniczyny	10.—	„	„ „	3.000.—
wyki	60.—	„	„ „	5.000.—
buraków past.	5.—	„	„ „	1.750.—
buraków cukr.	5.—	„	„ „	1.750.—
nasiona i sadzonki warzyw razem			„	10.000.—
nawozów pomocniczych	12 m		„	19.200.—
Razem			zł	69.200.—

Na wyżywienie rodziny zużyto i wydano w ciągu roku:

zboża	1.400.—	kg	wart. zł	49.000.—
fasoli	60.—	„	„ „	2.100.—
prosa	120.—	„	„ „	4.800.—
ziemniaków	4.000.—	„	„ „	20.000.—
warzywa	800.—	„	„ „	20.000.—
mleka	2.400.—	l	„ „	48.000.—
tłuszczu	30.—	kg	„ „	3.050.—
jajek	600.—	szt.	„ „	3.600.—
cukru	30.—	kg	„ „	4.800.—
mięsa	23.—	„	„ „	4.600.—
owoców	100.—	„	„ „	4.200.—
na różne: ocet, kawa, sól itp.			„	4.000.—
Razem			zł	175.150.—

Na wydatki gospodarcze i inwestycje inne wydano w ciągu roku:

podatki i ubezpieczenia	zł	30.000.—
opał, węgiel i drzewo	„	20.000.—
na prenumeratę gazet i podręczników zawodowych	„	1.600.—
kupno i naprawa narzędzi rolniczych	„	12.000.—
smary, oliwa, kucie koni itp.	„	4.000.—
mydło, nafta i zapałki	„	5.250.—
pasta, wapno, lakmus	„	2.250.—
podręczniki i przybory szkolne dla dzieci	„	6.000.—
materiały ubraniowe, bielizna i szycie	„	40.000.—
kupno i reperacja obuwia	„	42.000.—
wynagrodzenie za pracę najemną	„	20.000.—
za przemiał zboża i kupno ospy	„	7.000.—
tytoń dla jednego palacza	„	6.000.—
zabiegi lekarskie i lekarstwa	„	12.000.—
za otręby i makuch dla krów	„	16.000.—
spłata za 1 ha ziemi z parcelacji	„	7.000.—
na wydatki różne	„	24.000.—
Razem	zł.	255.100.—

Zestawienie rocznych rozchodów:

wydano

Na obsianie i obsadzenie	zł.	69.200.—
na wyżywienie rodziny	„	175.150.—
na wydatki gospodarcze i inwestycje	„	255.100.—
Razem	zł.	499.450.—

Muszę wyjaśnić, że niektóre artykuły jak: koniczyna, wyka, słoma, buraki pastewne, liście buraczane, wytłoki, maślanka, mleko chude itp. nie zostały uwidocznione po stronie przychodów. Również i po stronie rozchodów nie uwidoczniłem zboża i pasz zużytych na wykarmienie bydła, trzody chlewnej i drobiu (owsa 1.000 kg., jęczmienia 840 kg., ziemniaków 9.000 kg., otrąb i makuchu 1.000 kg., buraków pastewnych i wytłoków 10.000 kg., mleko chude 1.200 litrów).

To wszystko, co powinno być zapisane po stronie dochodów zostało w gospodarstwie przerobione i wykazane w dochodach w postaci mleka, jaj i mięsa. Skrót mego rachunku nie wpłynął na końcowy wynik, gdyż nie powiększając wpływów nie wykazywałem wydatków związanych z wyżywieniem inwentarza żywego.

Końcowy mój obrachunek, zarówno po stronie dochodów jak i wydatków zamyka się jednakową sumą 499.450.— zł. (czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt złotych).

Przysłowiowy „koniec z końcem" został związany jedynie dlatego, że robiłem oszczędności na odżywianiu swej rodziny, wydając przeciętnie na dzienne wyżywienie jednej osoby 69 zł i 50 gr., a ponadto musiałem zrezygnować z niektórych inwestycyj. Gdybym jednak po stronie rozchodów odpisał pewne sumy na amortyzację budynków, maszyn i narzędzi rolniczych oraz wartość rocznej dzierżawy posiadanego gruntu, to roczny mój obrachunek zamknąłby się deficytem około 100.000.— zł. (sto tysięcy złotych).

Tak oto w świetle suchych cyfr przedstawia się moje gospodarstwo rolne. Do pełnego obrazu należy dodać, że gospodarzę na ziemi dobrej, pszenno-buraczanej, a ponadto powierzchnia mego gospodarstwa wynosi 6½ ha, gdy tymczasem przeciętna wielkość gospodarstwa rolnego w województwie kieleckim waha się około 4 ha. Sądzę, że na glebach słabszych i gospodarstwach mniejszych sytuacja przedstawia się gorzej.

W. M.
Powiśle Opatowskie

Potrzeby inwestycyjne mleczarstwa na przyczółkach Kielecczyzny

Mleczarstwo przed wojną odgrywało dość znaczną rolę w dochodzie rolnika. Znamy okolice, gdzie drobni rolnicy zaprzestali sprzedaży żyta, które jako surowiec spożywczy nie miało pokupu na rynkach światowych i niesłychanie spadło w cenie — dlatego w rejonach posiadających mleczarnie rolnicy po prostu spasali żyto jako ospę krowami i przerabiali je na mleko. Wojna zmieniła gospodarkę rolnika. Najpoważniejszym artykułem stało się żyto, dające mąkę na chleb oraz ziemniaki.

Dziś w trzy lata po wojnie, gdy już w tym roku z pewnością osiągniemy samowystarczalność chlebową i zaprzestaniemy przywozu zbóż z zagranicy — trzeba myśleć o dalszych widokach rolnictwa. Z całą pewnością już dziś trzeba w naszych drobnych gospodarkach przechodzić na różnego rodzaju uprawy specjalne oraz odbudowywać te przemysły rolnicze, które zostały zniszczone przez wojnę.

Do takich między innymi należy mleczarstwo. Ostatni rok na tym odcinku był rokiem ciężkim, m. in. z powodu wielkiej suszy, która pozbawiła nas zapasów paszy. Wciąż jeszcze jest trudna sytuacja, ponieważ nie zdołaliśmy — i to jeszcze dłuższy czas potrwa — podnieść ilościowo pogłowia bydlęcego. Tym niemniej już obecnie trzeba czynić przygotowania i podjąć inwestycje w zakresie mleczarstwa.

Sprawa ta szczególnie pilna staje się na terenach zniszczonych przez front, na t. zw. przyczółkach. Są to tereny nadwiślańskie, tereny o glebach bogatych i szczególnie podatnych dla hodowli bydła. Chodzi tu o powiaty: kozienicki, iłżecki, opatowski, sandomierski i stopnicki.

Przeprowadzone w terenie badania stwierdziły, że na przyczółkach: baranowskim i wareckim uległo całkowitemu zniszczeniu 14 budynków mleczarni wraz ze wszystkimi urządzeniami, poza tym 3 mleczarnie zostały zniszczone częściowo, a wreszcie z 8 mleczarni Niemcy wywieźli ich urządzenia. Oto taki jest rezultat półrocznych walk na przyczółkach tylko w zakresie przemysłu mleczarskiego! Przeliczając to na gotówkę i licząc po cenach z 1946 r. — straty te ocenia się na ok. 130 milionów zł.

Ale — jak powiedzieliśmy — trzeba już dziś patrzeć w dalszą przyszłość rolnictwa. A to znaczy: trzeba już dziś przystąpić do odbudowy zniszczonego mleczarstwa. A to z kolei znaczy: trzeba już obecnie znaleźć potrzebne fundusze na jego odbudowę. To się opłaci — opłaci się rolnictwu i opłaci się państwu. Uruchomione dotychczas kredyty zupełnie są niewystarczające. Jako spółdzielcy i jako rolnicy podnosimy tę pilną potrzebę przed oczy miarodajnych władz. Kto tu przyjdzie z pomocą? Może Centralny Urząd Planowania, może Ministerstwo Rolnictwa i R. R.?

Rolnicy z terenów zniszczonych sami nie dadzą tutaj rady. Chłop na przyczółkach najpierw musi sklecić jakieś budynki dla swego gospodarstwa, musi zdobyć narzędzia rolnicze, musi jednym słowem odbudować swoje gospodarstwo. Dlatego nie można dziś liczyć na to, żeby miejscowe rolnictwo mogło świadczyć na cele rozbudowy mleczarstwa. Nieodzowna jest pomoc Państwa.

Mleczarz - spółdzielca

Chałupniczy przemysł drzewny w Łącznej pow. Kielce

Pomiędzy Kielcami a Skarżyskiem wzdłuż toru kolejowego i szosy asfaltowej Kraków — Warszawa ciągną się trzy wsie: Ostojów, Łączna i Zalezianka. Są to typowe ubogie wsie świętokrzyskie, o ziemiach piaszczystych, o których powiedział Żeromski (w „Słowie o Bandosie"): „gdzie korzec kopę rodzi, a kopa korzec daje". Mieszkańcy tutejsi to przeważnie małorolni, dorabiający na utrzymanie chałupnictwem. Wyrabia się tu różne towary drzewne, jak krzesła składane, ławki, stoły, leżaki, style różnego rodzaju, zabawki, łyżki, szufle do zboża i inne.

Przemysł ten zaszczepili na tutejszym terenie osiedleńcy z Podkarpacia a sprzyjające warunki, jak licha i nieurodzajna gleba, oraz obfitość drzewa bukowego nadającego się na te wyroby, przyczyniły się do jego szybkiego rozpowszechnienia, tak, że w dużej mierze chałupnictwo stało się tradycją.

W roku 1938 zwróciła uwagę na przemysł chałupniczy na terenie Łącznej Kielecka Izba Rzemieślnicza. Widząc, że chałupnik jest wykorzystywany przez szereg pośredników, którzy nabywali towar za grosze a sprzedawali go z dużym zyskiem, Izba Rzemieślnicza zorganizowała w Łącznej spółdzielnię, która zajęła się zbytem wytworów chałupniczych. Zainteresowała się wyrobami drzewnymi również Centrala Handlowa Rzemiosła w Warszawie. W tym celu zapoznała się na miejscu z wyrobami przemysłu ludowego i powierzyła spółdzielni w Łącznej poważne zamówienia na krzesła na eksport zagraniczny. Wysyłano tygodniowo około 2.000 sztuk krzeseł.

Młoda placówka zaczęła się dość szybko rozwijać, ale burza wojenna w roku 1939 zniszczyła cały dorobek. W czasie okupacji dwa razy powstawała i dwa razy była niszczona i rabowana. W lutym 1945 r. znów dzięki paru niezmordowanym jednostkom spółdzielnia powstaje do pracy, dając utrzymanie kilkudziesięciu ludziom.

Obecnie spółdzielnia cieszy się dość poważnym dorobkiem. Zaopatruje w wyroby drzewne oddziały „Społem", spółdzielnie rolniczo - handlowe, dyrekcje kolejowe oraz prywatnych odbiorców.

Chcąc poprawić jakość i rentowność wyrobów przemysłu ludowego, trzeba stworzyć chałupnikowi odpowiednie warunki. Trzeba więc: umożliwić nabycie odpowiednich narzędzi i maszyn, któreby ułatwiły pracę chałupnikowi; udostępnić nabycie drzewa, o które już obecnie jest trudno; przeszkolić na odpowiednich kursach, a szczególnie w dziale zabawkarskim, kilku młodych chłopców, którzyby później pełnili rolę instruktorów. Gdy te problemy zostaną rozwiązane, wyroby chałupnicze znajdą popyt na rynku krajowym i możemy wystąpić z nimi na rynki zagraniczne. Wtedy chałupnictwo odegra dominującą rolę w podniesieniu stopy życiowej świętokrzyskiego chłopa - chałupnika.

Rozumieją to dobrze władze spółdzielni i w swym planie pracy zaprojektowały wybudowanie warsztatów, w których wyrabianoby potrzebne półfabrykaty dla dalszej przeróbki przez członków chałupników. To w dużej mierze ułatwiło by pracę, a tym samym przyczyniło by się do zwiększenia i poprawienia jakości towarów. Budynek na warsztaty jest już przygotowany, parę maszyn już gotowych, ale do całkowitego wykończenia brak potrzebnego kapitału, brak kredytu inwestycyjnego, o który jednak wystąpiono do odpowiednich władz.

Wierzymy, że podjęte przez spółdzielców — chałupników zamierzenia zostaną w pełni zrealizowane. Wierzymy, że chałupnictwo, dobrze zorganizowane, w poważnym stopniu wpłynie na poprawę bytu chałupnika, na poprawę przeludnionej wsi świętokrzyskiej — ku dobru Polski Ludowej.

W. Miernik
Suchedniów, pow. Kielce

„Gazeta Kielecka" z r. 1874 w artykule „Z wycieczki w Łysogóry" pisze:

„Zamożni włościanie dość rzadko tam się trafiają z powodu złego gatunku gruntów; starają się więc powiększyć swoje dochody hodowlą niezłych wołów, koni i owiec mając dla pierwszych obfite pasze w leśnych łąkach i pastwiskach, a dla ostatnich bezleśne porosłe jałowcem i wrzosami wzgórza. Oprócz tego, niektórzy trudnią się wyrobem rozmaitych przedmiotów z drzewa, jak np. łopat, grabi, dzwon do kół, gontów itp. W okolicy u stóp gór często dają się widzieć we wsiach obszerne sady, z których owoce, a szczególniej śliwki — węgierki i jabłka dosyć daleko rozwożą na sprzedaż".

Zalesianie nieużytków w Kielecczyźnie

Nie mam zamiaru przytaczać tu żadnych danych liczbowych co do stanu zalesienia woj. kieleckiego — cyfry w tej chwili mogą nas nie interesować. Pragnę tylko podzielić się pewnymi obserwacjami, które każdemu rzucają się w oczy.

Tak więc każdy przeciętny śmiertelnik może stwierdzić, że w okresie minionej wojny lasy nasze ucierpiały wprost katastrofalnie. Niemcy absolutnie nie liczyli się z normalną gospodarką leśną i od początku okupacji rabowali nasz drzewostan na całego, jak by w przeczuciu, że gospodarzami tu nie pozostaną. W pewnym stopniu do zniszczenia lasu przyczyniały się i wsie podleśne. Oczywiście, zasadniczo nie można było mieć pretensji do ludzi, jeśli brali drzewo na konieczną odbudowę zniszczonych wojną zabudowań, lub jeśli brali drzewo na opał. Ale gorzej, w tym ogólnym bałaganie i ze strony ludzi wiejskich i ze strony administracji leśnej szła gospodarka rabunkowa Włócząc się w czasie wojny po lasach i po wsiach podleśnych, widziałem niejednokrotnie, że cięło się na opał to, co powinno było rosnąć dalej. Cięło się w sposób rabunkowy, bo za to się nie płaciło, bo to nie mojel Pamiętam doskonale do dziś dnia piękną duktę leśną w jednej z gmin północnych pow. olkuskiego, gdzie rozbójnicza siekiera cięła piękne brzozy o pół metra lub metr od ziemi. Nic dziwnego, że chłopcy bechowcy musieli wystąpić przeciwko temu marnotrawstwu naszego polskiego mienia. Może pamiętają niektórzy Czytelnicy niewielkie drukowane „o b w i e s z c z e n i e w s p r a w i e o c h r o n y l a s ó w" rozlepione na terenie województwa. Był tam podany zakaz pobierania materiału budowlanego, a ustępstwo czynione jedynie dla tych, którzy zostali w czasie wojny spaleni.

Ale nie o tym przecież chciałem pisać. Wracając do tematu, pragnę stwierdzić, że lasy nasze zostały wyniszczone, jednocześnie jednak należy zauważyć, *że odbywa się na terenach poleśnych wielka praca ich zalesienia.* Wszędzie widzimy szkółki sadzonek i wszędzie widzimy ogromne połacie nowych zalesień. Widok ten cieszy oko człowieka. Ministerstwo Lasów zdaje egzamin.

Źle natomiast jest dotychczas z nieużytkami chłopskimi. Nie ma tu żadnego planu i ładu. Ktoś tam wetknie w ziemię parę sadzonek sosny czy brzozy, drugi znów w dalszym ciągu obok na jałowym piasku sieje nędzne żyto i łubiny. Ni to las, ni to pole — a właściwie całkowicie niewykorzystany nieużytek. Mnie się zdaje, że ten stan należy co rychlej uregulować. Winna tu wystąpić inicjatywa gromad i gminnych rad narodowych, a Dyrekcje Lasów winny przyjść z pomocą w postaci przydziału sadzonek. Jednak winien powstać generalny plan zalesień. Same gromady gminy tego nie dokonają. Obowiązek ten powinny podjąć dyrekcje leśne. Nie mogą dyrekcje leśne tłumaczyć się — „to nie moje nieużytki". To jest polska, niewykorzystana ziemia, a fachowcami w kierunku ich zagospodarowania są leśnicy.

Niezależnie jednak od wysuniętego tu postulatu sami rolnicy winni pomyśleć i zakrzątnąć się około zalesienia swych nieużytków. Należy tu działać zespołowo, gromadnie, bo robota jednego — to nędzne pateranie, nie dające wielkiego pożytku, gdy chodzi o opanowanie większych przestrzeni.

Na koniec nasuwa mi się uwaga, że należało by również *wykorzystać pasy nieużytków, ciągnących się wzdłuż torów kolejowych.* Tam, gdzie gleba urodzajna — dróżnicy je obsiewają. To bardzo dobrze. sięgnące się całymi kilometrami nieużytki leżą odłogiem. Widziałem na pewnych terenach Ziem Zachodnich, że przytorowe nieużytki zostały tam obsadzone drzewami, oczywiście, liściastymi, bo sosnowe zapalają od iskier parowozów. Czy Ministerstwo Komunikacji nie powinno by tej pięknej pracy dokonać na ziemiach centralnych?

Wydaje się, że drzewo w Polsce nie miało szacunku i nie było o nie dbałości. Czy dlatego, że było go kiedyś dużo, czy dlatego, że kultura człowieka była niska? Zwraca na to uwagę znany pisarz chłopski Jan Wiktor w swej książce p. t. „B l o g o s ł a w i o n y c h l e b z i e m i c z a r n e j".

„Jakiś czas towarzyszył mi rząd drzewek przydrożnych. Ze współczuciem liczyłem zacięcia, świeże okaleczenia, bolejące rany śmiertelne i pomyślałem, że najnieszczęśliwszą, choć najlepszą istotą w Polsce jest drzewo przydrożne. Każdy wóz zawadzi, każdy przechodzień kopnie lub siekierą utnie, bez potrzeby, ot tak z „żartów".

Kto ma sumienie ludzkie, odczuje te słowa Wiktorowe i nie zapomni ich nigdy.

(es-jot.)

Szkoła Spółdzielcza w Śladkowie, pow. Busko

Nie rozkosz, nie bogactwo, gnieździ się w niskich, kamiennych chatach, w rzadko położonych wsiach powiatu stopnickiego. Opuszczony, od dawna zapomniany kąt w kieleckim, pokryty tu i ówdzie nędznymi lasami, na wyjałowionym, ziarnistym piachu, kryje skrzętnie nędzę ludzką, a rzęsiste krople potu wymęczonego pracą rolnika szybko i głęboko wsiąkają w grunt.

Nie wiele radości i zadowolenia z życia pozostaje mieszkańcom piaszczystych wsi. Praca twarda od świtu do nocy, trud bez pokrycia, uparcie powracająca myśl: jak żyć, jak pracować, by wytrwać — nie schodzi im z czoła. Wojna pożarła resztki fortuny ludzkiej. Zrównała tych, co przypadkiem wyrośli ponad przeciętną nędzę. Wszystkim zostało jedno: ruiny, zgliszcza i gorycz po nieudałym wysiłku. Lecz mieszkańcom tych przyczółkowych wsi, pozostała jedna wielka i drogocenna cecha. Wiara we własne siły, ochota do dalszej pracy i do walki z nędzą. Zahartowani od dawna w trudach wiedzą, że tylko ich własna nieustanna praca może zmienić to co jest.

Ludzie szybko otrząsają się z marazmu, zapominają o nieszczęściu i widzą jasny cel przed oczyma.

Powiat pozbawiony komunikacji, bo jedna główna szosa przecina go wszerz, to jest linia Busko — Kielce, tętni własnym życiem, wkłada maksimum wysiłku w odbudowę. Jako przykład włożonego wysiłku niech posłuży Szkoła Spółdzielcza w Śladkowie Dużym. Z daleka widnieją jej świeżobiałe mury. Wyrastają ponad las i wyraźnie odbijają się od niskich, nędznych chat, na piaszczystem gruncie.

Życie wyrasta samo, wyrasta tu, gdzie się go zaszczepi, tu gdzie czuje grunt pod nogami, tu gdzie ma oparcie w terenie.

Nie jeden się zdziwi, że tu dopiero niedawno sterczał szkielet budynku, bez okien i drzwi, jak jakiś niepotrzebny grat.

Gdy zrodziła się myśl wykorzystania go na budynek szkolny, gdy społeczeństwo zrozumiało i doceniło ważność tej placówki na swym terenie, z ochotą i pełną inicjatywą ruszyło do pracy, nie szczędząc wysiłków i grosza. Wpłynęły milionowe sumy na odbudowę z okolicznych spółdzielni, a jeszcze większy kapitał moralny w uznaniu i poparciu tej placówki. Bo oto jedna łódka ratunku więcej, oto jeszcze jedna droga odpłynięcia w szerszy świat, droga dla młodych, co wchodzą w nowe życie, pełni młodzieńczej werwy. I ci właśnie młodzi, ucząca się młodzież szkolna, świeci przykładem ofiarnej pracy, Ich to dzieło, ich ofiarny trud. By szybciej, by taniej wyniosło, we własnym zakresie własnymi rękami kładą cegiełkę na cegiełce. Brak koni — trzeba samym ciągnąć naładowany wóz. Brak w kuchni pieca — trzeba samym budować. Trzeba szklić, remontować — gdzie się da. Bo miejsca mało, bo szkoła zbyt mało przyjmuje kandydatów. Zgłosiło się w początkach ponad stu, przyjęto dziesięciu.

Widać pracę, widać wysiłek, nawet szeroko nazewnątrz. Potrzebny jest telefon. Szkoła odcięta od świata, brak szosy. Ofiarna miejscowa ludność ofiarowuje po jednym drzewie każdy z kilku prętów swego rzadkiego lasu. W dwóch dniach słupy leżały do obróbki przed szkołą! Zwieziono przeszło sto słupów, z których ma powstać 4 km. linii telefonicznej. Młodzież z ochotą zabiera się do pracy i gdy tylko ciepło pozwoli, zbuduje sama linię do Chmielnika. Oto ofiarna praca, oto zdrowy przejaw zrozumienia i jak najdalszej współpracy społeczeństwa ze szkołą.

Szkoła ma jeszcze duże braki! Tym większe, że skąpe są fundusze państwowe, które nie wystarczają na łatanie dziur. Potrzebny jest internat, potrzebne są mieszkania dla nauczycieli, sale wykładowe, kuchnia, remonty zewnętrzne i wewnętrzne gmachu. Te wszystkie potrzeby muszą być w miarę możliwości zaspokojone, by szkoła w pełni spełniała swoje zadanie.

K. L.

Ze starych pism o ziemi kieleckiej

„Przyjaciel Ludu" (Leszno, 1846 r.) pisze:

„Okolice Sandomierza odznaczają się zadziwiającą żyznością ziemi, rodzącej obficie pszenicę, stającą się rok rocznie głównym przedmiotem handlu z Anglikami i innymi narodami, które ją kupują, nie tylko aby się wyżywić, ale zwłaszcza, ażeby siew zmienić".

„Rolnictwo jest tedy głównym zatrudnieniem mieszkańców; lecz pszenica, drzewo i towary przeważnie przewożą do Warszawy i Gdańska ci, którzy zamieszkują brzegi Wisły i Pilicy. Inni. osiedli w okolicach Radomia, ku rzece Kamiennej i w Opoczyńskiem, trudnią się wydobywaniem kruszcu, kuciem i wyrabianiem żelaza".

Kolberg o chłopach sandomierskich

Oskar Kolberg za czasopismem „Przyjaciel Ludu" (Leszno, 1846 r.) pisze:

„Obyczaje i zwyczaje chłopów sandomierskich zbliżają się do obyczajów Krakowian; lecz są oni temperamentu spokojniejszego i mniej skłonni do wesołości, odznaczają się w ogóle rozsądkiem i rozwagą. Dotrzymują słowa i dlatego jest przysłowie w całej Polsce „Polegaj na nim jak na Sandomierzaninie".

„Jeżeli chwalimy zręczność Krakowiaka przy użyciu lancy, nie możemy mniej chwalić żołnierzy pochodzących z Sandomierskiego, gdy z bagnetem w ręku na nieprzyjaciela uderzają. Pełni gorliwości i wytrwałości wśród niebezpieczeństw, stanowili zawsze wyborowe wojsko piechotne".

HENRY OYEN 10)

Syn Ziemi

Istniały w Rainy River Falls dwie gospody, które znane były z tego, że kryły oprócz alkoholu inne jeszcze rzeczy, a towarzystwo papiernicze przymykało na to oczy.

Tego samego wieczoru wybrał się Martin do Lee'ów. Gdy przybył do miejsca, w którym droga zbaczała do Camp Bon Air, zatrzymał się przez chwilę i nasłuchiwał. Ale dzisiaj nie rozbrzmiewały tony żadnej muzyki. Czy Alice Demarre już wyjechała? Musiał myśleć o ich ostatnim spotkaniu. Gdy ruszył dalej gnany pożądaniem bronienia Hattie Lee, uświadomił sobie, jaki wpływ wywierała na nim uroda Alice Demaree.

Zboczył w wąski szmat lasu, rozciągający się między drogą a rzeką. Przeszedł przez lasek i znalazł się naprzeciw wyspy Squaw. Na drugim brzegu ujrzał światła obozu Bielskiego. Poszukał w ciemności kamienia na wybrzeżu i usiadł. W następnej chwili jednak zerwał się z miejsca. Tam, gdzie przed tym, jak sobie przypominał, był czysty piasek nadbrzeżny, sięgała teraz woda do kostek. To go zdziwiło. Wiosenny okres wzniesionych wód już dawno minął.

— Na północy musiał spaść silny deszcz — pomyślał. Ale chyba oberwanie chmury mogło w tej porze roku doprowadzić do tego, aby Rainy River tak wezbrała.

Martin stał przez chwilę i przysłuchiwał się szumowi szybko mknącej rzeki. Czy było możliwe, aby wschodni dopływ teraz zatamowano? Czy to mogło mieć taki wpływ na rzekę? Ruszył wzdłuż małej zatoki, gdzie Szymon Lee miał swoją łódź, ale ta znikła. Nie miał ochoty na długą turę pływania w ciemności, ale chciał przecież zobaczyć, co się na wyspie dzieje. Złożył tedy odzież na suchej skale, rzucił się w wodę i popłynął w kierunku wyspy.

Deszcz padał, wir powinien go był ponieść w dół przez pół długości wyspy, zanim mógłby lądować, ale gdy tylko dostał się w prawdziwy prąd spostrzegł, że jego obliczenie było mylne. Rzekę cechowała dzisiaj jakaś niezwykła wartkość i mimo, że płynął z całym wysiłkiem, osiągnął dopiero brzeg na najodleglejszym końcu wyspy. Opłynął jej najniższy cypel i odnalazł wschodnią odnogę. Tam była teraz mulistym korytem, pustym, po mały ściek w środku. Martin posuwał się ostrożnie w przód, wzdłuż starego koryta rzecznego aż do cypla wyspy. Prowizoryczna tama z pali wznosiła się przed wschodnią odnogą tam, gdzie rozwidlała się główna rzeka. Za tą tamą zbiorową rozpoczęto już budowę betonowej grobli.

Martina ogarnął gwałtowny gniew. Oto było dzieło Paper Company. Bolało go to wdzieranie się w jego kraj. Towarzystwo przewidziało, że farmerzy będą oponować i odpowiednio do tego poczynili swoje przygotowania. W ciemności wybrzeża ujrzał Martin dwa ogniska: jedno — gdzie załoga miała swój obóz, drugie [illegible] — blisko prowizorycznej tamy, W świetle, padającym z dużego ogniska, widział przystań tych [illegible], gdzie była przywiązana łódka Szymona Lee. Małe ognisko oświetlało niskiego, krępego mężczyznę, który spoglądał w kierunku Martina

— He, Biels — huknął teraz na obóz — czy jakiś z twoich ludzi walęsa się koło grobli?

— Zastrzel go! — odkrzyknął z ochrypłym śmiechem Biels. — Taki rozkaz. Spodziewam się napaści na groblę.

— Czy to naprawdę żaden z twoich ludzi?

— A choćby nawet. Otrzymali rozkaz trzymać się nocą z daleka. Jeżeli nie słuchają, strzelaj. Taki rozkaz. Widzisz kogoś?

— Nie wiem. Może to jeden z tych przeklętych hreczkosiejów, który tutaj węszy.

— Strzelaj!

Z rewolweru stróża buchnął czerwony płomień w ciemność i ładunek ołowiu gruchnął w zarośla, w pobliżu miejsca, gdzie stał Martin. Nie było go już tam jednak. Opłynął teraz ostrożnie cypel wyspy do miejsca, gdzie znajdowała się łódź Szymona Lee. Gdy strażnik zeszedł do grobli, dał się Martin już wygodnie ponosić prądowi i posuwał przed sobą łódkę Szymona. Skoro uczuł się bezpiecznym, wlazł do łodzi i podpłynął nią aż do lądu stałego.

Ukrył łódź w małej zatoce i naciągnął na siebie odzienie, a potem wybuchła w nim na moment cała złość, jaką dotychczas dusił w sobie i, stojąc, wpatrywał się groźnie w światła na wyspie, które mrugały przez wodę. Wygrażał pięściami:

— Strzelają! — warknął. — Chciałbym wiedzieć, co oni sobie wyobrażają? Czy zdają sobie naprawdę sp[illegible]wę z tego, o co tu chodzi?

XXI.

Na zewnątrz był znów zupełnie spokojny, gdy przyszedł do Lee'ów. Hattie była zajęta związywaniem paczki.

—Przynęty na pstrągi? — zapytał.

— Tak. Jutro rano odchodzi paczka pocztą do Chicago — odpowiedziała. — Słyszałam, że i ty tam jedziesz.

— Ja? — jąkał się. — Co ci wpada na myśl?

— Słyszałam o tym — odparła Hattie lekko.

— Od kogo?

— Od miss Demaree. Była przypadkiem tu.

— To nieprawda — powiedział powoli.

— Napomknęła, żeś jej o tym mówił.

— Nie jadę — powtórzył powoli. — I nie chciałbym, abyś to rozpowiadała.

— Z nikim o tym nie mówiłam — mruknęła i związała paczkę. Potem wyszła z pokoju. Stał jeszcze i gapił się za nią, gdy, uśmiechając się z lekka, wszedł Szymon Lee.

— Marty — mruknął — ładnie nas wpakowałeś z tym traktorem.

— Wydźno na chwilę — szepnął Martin.

— Co takiego? — Uśmiech na ustach Lee'a za-

W Porąbkach pod Łysicą

Wieś Porąbki w pobok z Kakoninem przycupnęła na samych południowych zboczach Łysicy. Chałupa przy chałupie, stodoła przy stodole ciągnie się od Krajna ku Bielinom. Długaśnymi wężami swych pól sięga granic Puszczy Jodłowej i śmiga prawie pod same kwarcytowe gołoborza. Pięknie tu jak w całej Świętokrzyźczyźnie, ale i „kwarcytowe" życie mieszkańców. Nie łatwo jest gospodarzyć na 3-hektarowych zuchelkach, których wieś ma 112 i które wyżywić muszą liczne rodziny.

— Przed wojną, a nawet i pod ukradkiem w wojnę — dorabiało się gontami Dziś aj już nikaj u nas gontów się nie struże, bo nie ma z czego. Szwaby lasy wyniszczyli i trza je oszczędzać — mówią Porąbczanie.

Ciężkie, na prawdę ciężkie chwile przyszły na Porąbki. Ale chłopi tutejsi nie są z tych, co troskę o losy swych rodzin zwalają tylko na „wolę Bożką" i łatwo poddają się trudnościom. „Kwarcytową" dolę chwytają prosto za rogi. Podwajają i potrajają swe wysiłki, by z ziemi wydobyć więcej i coraz więcej.

Intensyfikując pracę na gospodarstwach, znajdują czas na czyn gromadzki i dobrze rozumieją jego znaczenie dla wsi i Polski całej. Że tak jest w Porąbkach, to nie przypadek. Jest to przede wszystkim zasługa Ruchu Ludowego, który ma tutaj duże tradycje. Rodziny Synowców, Kobyłeckich, Rzepków, Banasików, Chrobotów, Kalwatów, Łabęckich, Sztorców, Kaletów i Gawlików — to czołowa gwardia tutejszych ludowców. Oni przed wojną byli pierwsi i nieugięci w walce z sanacją, oni za czasów okupacji natychmiast znaleźli się w pierwszych szeregach ROCha i BCh, oni i dziś we wsi są trzonem odrodzonego PSL i rzetelnością swej pracy nadają ton całemu życiu wsi, współpracując harmonijnie z miejscowymi komórkami PPR-u i SI-u. Na owoce tej rzetelnej, współpracy Porąbki nie musiały długo czekać.

Oto w najcięższym dla siebie momencie podjęły budowę szkoły. Na początek wieś wydłubała dobrowolnie z pustych swoich kieszeni 100.000 zł. Zakupione 70 m³ surowca drzewnego przeistacza się już pod siekierami ochotniczych cieślów i pod piłami ochotniczych traczy w kształtne bale. Rośnie stos potrzebnych kamieni. Komitet budowy szpera za pianam. i subwencjami. Starostwa i Urzędu Gminnego. Władze 530.000 zł. już ma zapewnione ze strony szkolne również kredyty obiecują. Jest więc nadzieja, że szkoła w Porąbkach niedługo opuści gościnny lokal domu miejscowej spółdzielni, przeniósłszy się do własnego pięknego budynku — przestanie się dusić.

Ludzie w Porąbkach wiedzą czym jest szkoła. 8-ro młodzieży tutejszej kształci się w szkołach średnich. Chętnych do dalszej nauki byłoby tu o wiele, wiele więcej. Nie każdy jednak potrafi zdobyć się na tak olbrzymi wysiłek, by płacić za utrzymanie dziecka w szkole 6.000 zł. miesięcznie.

* * *

Spółdzielnia w Porąbkach była kilkanaście razy rabowana i za każdym razem musiała się dorabiać od nowa. Dzięki jednak dużemu uspołecznieniu wsi dopracowała się własnego domu i weszła do Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" z poważnym wianem. Jest tu w tym duża zasługa „Wiciarzy", których pracę we wsi widać.

Jedno tylko w Porąbkach martwi. Oto miejscowa komórka Związku Samopomocy Chłopskiej jakoś tu się nie dopasowała. Nie znać we wsi zupełnie twórczego pazura tej pożytecznej organizacji. Chłopskie pazury coraz głębiej rolę swych skąpych zagonów ryją, by wyszarpać z nich co tylko możliwe, a Związek Samopomocy jakby tego nie widział. Trzaby wyszukać przyczyny tego stanu i w miarę je usunąć. Sprawa tu o tyle trudniejsza, że leżą one zdaje się poza granicami wsi. Ale usunąć je koniecznie trzeba, bo Porąbki i w tej pracy mogą przodować.

Dla dopełnienia obrazu trzeba dodać, że 20 rodzin z Porąbek przesiedliło się na Zachód. Urządzili się tam bardzo dobrze. Mają piękne gospodarki i chleba do syta, a jednak tęsknią podobno do tych okolic. Nic dziwnego. Potężny jest urok Puszczy Jodłowej, Łysicy i całej Świętokrzyźczyzny. Ale samym pięknem żyć się nie da. A najważniejsze jest tu i to, że Ziemie Zachodnie potrzebują jeszcze dużo dzielnych ludzi. Znajdzie się tam napewno nie jeden jeszcze chłop ze Świętokrzyźczyzny.

Jedlica.

J. PLEWCZYŃSKI

członek Zarządu Pow. PSL w Radomiu

Radom powrócił do starych tradycji

przemysłowych

Radom jest dość poważnym ośrodkiem przemysłowym. Wieś kielecka zna to miasto z dobrych skór. W czasie okupacji niemieckiej, kiedy to o obuwie było bardzo trudno, niejeden z zapadłej wsi jechał do Radomia po tanie i dobre skóry.

W przemyśle radomskim garbarnie zajmują poważne miejsce, bo jest ich tam aż 36. Lecz oprócz garbarni Radom ma jeszcze wiele innych placówek przemysłowych, jak: Państwową Fabrykę Nr 1, wytwórnię tytoniową, fabrykę obuwia „Bata", oraz wiele mniejszych zakładów przemysłowych.

Z tych małych placówek przemysłowych należy wymienić 18 mydlarni radomskich. Są to niewielkie zakłady, ale przez swą ruchliwość i zaradność zdobywają coraz to nowe rynki zbytu. Prócz miejscowego rynku, mydlarnie radomskie mają swych największych odbiorców na Ziemiach Odzyskanych.

Warto również wspomnieć o takiej fabryce, którą wieś powinna zainteresować się bliżej. Otóż w Radomiu jest chemiczna przetwórnia odpadków zwierzęcych, która z takich odpadków, jak: kości, szczecina, ogony, uszy, rogi, kopyta, racice, zepsute ryby, padlina itp. wytwarza pożyteczne produkty, jak: tłuszcze techniczne, mydło, klej stolarski, mączkę rybną itp.

W Polsce nie docenia się odpadków, natomiast zagranicą jest pokaźny przemysł, opierający swą produkcję właśnie na tym, co my wyrzucamy do śmietników. Obliczono, że w ciągu roku tylko samej szczeciny wyrzucamy do śmietników za sumę 64 milionów zł. Warto, żeby ktoś po wsiach te odpadki zbierał i sprzedawał je fabryce.

Jeszcze jedna radomska placówka przemysłowa zasługuje na uwagę — cegielnia na Firleju. Jest to spółdzielnia pracy, 35 członków-robotników i małorolnych chłopów zabrało się do energicznej roboty. Zaprowadzają nowoczesne urządzenia i począwszy od bieżącego roku, będą produkowali rocznie dwa miliony cegły.

W roku 1945 przemysł radomski został mocno zdewastowany. Niemcy wywieźli maszyny, a zabudowania fabryczne porozsadzali dynamitem. Radom się jednak nie załamał, ludzie nie opuścili rąk. Dzięki ofiarnej pracy robotników i inteligencji pracującej na nowo zadymiły radomskie kominy. Radom powrócił do starych tradycyj przemysłowych, by w ten sposób zapewnić swym mieszkańcom dobrobyt, a miastu dalszy rozrost.

Przez organizacje społeczne

do lepszej przyszłości wsi

Wieś nasza Leszczyny odległa jest od Kielc o 9 klm. Nie bliskość Kielc jednak sprawiła, że od sporej ilości lat coś się u nas działo, że wieś wkroczyła na drogę postępu. Jeśli bowiem można stwierdzić, że wieś nasza w porównaniu z takimi samymi wioskami Kielecczyzny — poszła nieco naprzód, to sprawili to ludzie w samych Leszczynach zamieszkali.

Najstarszymi placówkami naszej wsi są: spółdzielnia spożywców i Kasa Stefczyka. Obie te instytucje powstały w 1917 r., a więc istnieją już 30 lat. W czasie okupacji wybudowaliśmy dom spółdzielczy, w którym spółdzielnia i Kasa Stefczyka znalazły pomieszczenie.

Dużym sukcesem dla wsi stało się zaprowadzenie światła elektrycznego, co nastąpiło staraniem gromady i ks. proboszcza Kuczyńskiego. Prąd elektryczny służy do oświetlenia kościoła i chałup wiejskich, a poza tym dzięki prądowi mogliśmy wieś zradiofonizować. Obecnie przez dwa aparaty radiowe obsługiwanych jest 80 głośników. Poza tym używamy prądu do pędzenia maszyn rolniczych jak młocarnie, sieczkarnie itp. Z prądu korzysta też jedna z dwuch istniejących we wsi gremplarni. Obie obsługują ludność miejscową i całej okolicy.

Jeszcze po krótce wspomnę, że we wsi naszej istnieje mleczarnia posiadająca własny budynek, jest też 4-klasowa szkoła powszechna, straż pożarna posiadająca remizę wraz z urządzeniami przeciwpożarowymi oraz przy kościele dom ludowy, w którym odbywają się zebrania, przedstawienia i akademie, urządzane przez Koło Młodzieży „Wici", przez Katolickie Stow. Młodz. i Straż Pożarną.

Ludzie — jak to ludzie — różnie oceniają działalność organizacyj społecznych. Ja myślę, że właśnie te wszystkie organizacje w niemałym stopniu przyczyniają się do podniesienia poziomu życia wiejskiego i dlatego powinny być przez cały ogół wiejski popierane. Lepszy swój byt stworzyli przez organizację chłopi czescy i duńscy — i chłopi polscy tylko przez wspólny wysiłek zbudują lepsze swoje jutro.

Antoni Brzeziński
wieś Leszczyny, pow. Kielce

---

marł. Jego stalowo-niebieskie oczy ciskały błyskawice.

— Chciałbym z tobą porozmawiać.

Lee usiadł na pniu drzewa przed domem.

— Co się stało, Marty?

— Przywiozłem napowrót twoją łódź z wyspy Squaw. Czy pożyczyłeś ją tym cudzoziemcom?

Szymon Lee zaczął kląć. Klął powoli, systematycznie i zasobem słów, który zdradzał, że ma za sobą niejedną zimę, spędzoną w lesie.

— Czy ja pożyczyłem moją łódź cudzoziemcom? Nie zrobiłbym tego nawet aby ich wywieźć z piekła. To znaczy więc, że ją mieli tam na górze, na wyspie?

— Tam ją znalazłem. Popłynąłem tam, aby zobaczyć, co oni tam robią. Zbudowali tamę na wschodniej odnodze, postawili wartę i ten drab strzelał do mnie, bo odważyłem się podejść blisko.

Zwykła gadatliwość Szymona znikła odrazu. W milczeniu przesiedział kilka minut.

— Opowiedz mi raz jeszcze — wyszeptał cicho, a gdy Martin po raz wtóry odtworzył swoje przeżycia na wyspie, Szymon w zamyśleniu gładził brodę.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Dobrze. Jak tego chcą, to żadne gadanie nie pomoże. Nie myślą chyba, że spokojnie na to przystaniemy.

— Nie — przytaknął Martin, — ale na razie nie możemy sobie pozwolić na kłótnię z nimi. Gdyby przyszli tu i ciebie nagabywali, daj mi znać, a wszyscy będziemy na miejscu.

— Sam mogę bronić mego kurnika.

— Wiem o tym. Ale zlikwidujemy to, zanim przybierze poważne rozmiary. Nie mów o tym z nikim. Gdyby inni posłyszeli o strzale, mogliby się zbuntować. Musimy tego uniknąć.

XXII.

Martin wiedział, że mr. Keener miał zwyczaj jechać co rana z Camp Bon Air do swego biura w Rainy River Falls. Uplasował się zatem na skraju szosy, którą Keener musiał minąć. Gdy jednak ukazało się auto Keenera, żałował, że nie wybrał innego dnia dla swego przedsięwzięcia. Przy kierownicy siedziała bowiem Alice Demaree.

Teraz było jednak za późno się cofnąć — wystąpił naprzód, stanął w środku drogi i czekał cierpliwie i zdecydowanie, aż się wóz zatrzymał. Mr. Keener ciskał wściekłe spojrzenia, ale Alice Demaree, która wyczuła przykrą dla obu mężczyzn sytuację, uśmiechała się promiennie.

Jej uśmiech nie złagodził ani trochę napięcia. Potem Keener rzucił niecierpliwie: — Ustąp pan z drogi!

— Mr. Keener, mam coś z panem omówić — odparł Martin.

— Niech się pan wynosi!

Martin zagryzł wargi. Nie odważył się w tej chwili otworzyć ust. Stał i spoglądał na Keernera, który porwał się gniewnie.

— Calkins, nie mam z panem nic do gadania.

— Ale ja mam z panem coś do omówienia. Jeżeli pan chce, może mnie pan przejechać.

Keerner przyjrzał mu się bacznie. Spotrzegł, że Martin traktował sprawę serio. Nie ustąpi.

— Czego pan chce? Mam mało czasu!

— Rozchodzi się pańską tamę na wyspie Squaw!

— Cóż z nią nowego?

— Chciałbym, aby mnie pan zatrzymał. Byłem tam wczoraj i oglądałem sobie groblę.

— O czym pan właściwie mówi? Radzę panu, niech się pan nie troszczy o moją tamę.

— Niech mnie pan każe zaaresztować.

— Głupstwo!

— Żądam tego

Keener wpadł we wściekłość. — Nonsens!

— Pan myśli, że może pan wprowadzać tu swoje własne prawa — powiedział Martin — z wartą, która strzela, gdy słyszy szelest w krzakach!

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Chciałbym pana prosić, aby pan usunął te straże. Gmina strzeże sama swoich praw. Ręczę osobiście za to, że żaden z farmerów nie dotknie tamy. Gdyby pan znał ludzi w okolicy, mr. Keener, nie potrzebowałby pan broni.

— Ja nic o tym nie wiem.

— Keener — wybuchnął teraz zniecierpliwiony Martin. — Zwracam się do pana jak jeden mężczyzna do drugiego. Pan jest człowiekiem i my też. Oddal pan wartę. Gdyby pan ją jednak zostawił i jeszcze raz do kogoś strzelano, będą trupy — i wtedy uchylam się od wszelkiej odpowiedzialności za następstwa.

— Bardzo szlachetnie z pańskiej strony — powiedział zjadliwie Keener. — Ale nie prosiłem pana o radę.

— Człowieku! Czy nie widzi pan, co pan zamierza? Czy parę dolarów są więcej warte, aniżeli życie ludzkie?

— Proszę pana, niech mi pan zejdzie z drogi!

— Chcę słyszeć pańską odpowiedź.

— Idź pan do Bielsa. On zawiaduje całą sprawą. Wszystko dzieje się na jego polecenie.

— Biels?

— Zwróć się pan do niego.

— Biels! — Martin ustąpił w bok. Wóz przemknął obok niego. Alice Demaree spoglądała prosto przed siebie. Policzki zarumieniły się, usta były lekko rozchylone, a oczy błyszczały z emocji.

XXIII.

Martin patrzył za oddalającym się wozem. Zauważył, że dziewczyna na chwilę odwróciła się i obrzuciła go spojrzeniem, które by go kiedyindziej podniecilo, ale teraz przeszło bez wrażenia. Wiedział dokładnie, jakby farmerzy zareagowali, gdyby usłyszeli o tym. Nie miał żadnych złudzeń co do swoich sąsiadów. Wiedział dobrze, że spokój i rozwaga nie były ich mocną stroną. Całkiem niedawno minęły przecież dni drwali, myśliwych i traperów, czasy, kiedy jedynie uznawanym argumentem była przemoc. Naprzykład obaj młodzi Gartwrightowie chętnie pół dnia straciliby, aby się dostać na miejsce, gdzie były widoki na jakąś bójkę; przez całą zimę zajmowali się kłusownictwem i żaden strażnik nie odważył się z nimi zadrzeć. Peter Gartwright — myślał Martin — niczego by sobie goręcej nie życzył, jak ziechać nocą lodzią w dół rzeki aż do wyspy Squaw i ściągnąć strażnika z tamy. Fakt, że Paper Company wydała rozkaz, że nie wolno się zbliżać do wyspy, wywołałby wprost przeciwny skutek. Martin sam też czuł nie inaczej.

W parę dni później zdziwił się bardzo, widząc Mr. Sawyera i sędziego Holcomba przed domem,

Z wędrówki po pow. częstochowskim

Gdyby chcieć krótko określić, co zwraca szczególną uwagę w Częstochowie, to możnaby odpowiedzieć: Częstochowa to klasztor jasnogórski i szeroko rozbudowany przemysł. Pewnie żadne z naszych miast nie jest tak masowo odwiedzane przez rzesze ludu polskiego jak właśnie Częstochowa. Rok w rok ciągną do klasztoru jasnogórskiego liczne pielgrzymki z całej Polski.

Rzesze pątnicze, zapatrzone w Jasną Górę, najczęściej nie zauważają, że Częstochowa jest ośrodkiem dobrze rozwiniętego przemysłu. Wytwarza się tam niemal wszystko, czego człowiek potrzebuje. Jest bogaty przemysł włókienniczy, żelazny, galanteryjny, skórzany, spożywczy i wszelaki inny.

A co jest charakterystyczne dla powiatu? Na tle całego województwa kieleckiego zwraca przede wszystkim uwagę znaczna ilość dróg bitych. Gdy w bogatym rolniczo powiecie pińczowskim, posiadającym wspaniałe gleby pszenno-buraczane, istnieje właściwie jedna jedyna szosa z Pińczowa do Kazimierzy (droga, pożal się Boże!), to w powiecie częstochowskim do każdej prawie gminy dojechać można szosą, nieźle utrzymaną.

Poza tym zwracają w ogólności uwagę wędrowca po powiecie tamtejsze gleby jasko gleby przeważnie słabe, w wielu wsiach nie wzięte pod uprawę, leżące odłogiem. Na przykład wieś Zawady nad Wartą i szereg okolicznych wsi — to wsie leżące na lichych piaskach. To samo widzimy w gminie Przystajń, Olsztyn, Złoty Potok i wielu innych. A trzeba dodać, że gospodarstwa są przeważnie karłowate, rodziny liczne — w tych warunkach życie ludzkie jest ciężkie.

Szczególnie trudna sytuacja wytworzyła się we wsiach, zniszczonych przez okupanta hitlerowskiego w części powiatu, wcielonego podczas wojny do t. zw. „Rzeszy". Zaraz w pierwszych dniach wojny wkraczają wojska niemieckie paliły wsie i mordowały bezbronną ludność. Tak np. w gm. Lipie zostało niemal całkowicie spalonych 8 wsi. Na terenie wsi wypalonych, jak i nie wypalonych, Niemcy tworzyli folwarki albo duże gospodarki dla nasiedlonych przybyszów z Rumunii. We wsi Biała, gm. Kamyk, przed wojną istniało około 100 gospodarstw chłopskich. Niemcy na obszarze wsi utworzyli 13 gospodarstw, miedze zaorali, porozbierali budynki a ludność polską w większości wysiedlili.

Rzecz jasna, Polacy, którzy zostali objęci granicami owej „Rzeszy", robili co w tamtejszych warunkach można było robić. Młodzież ukrywała się, byle tylko nie dać się wywieźć do Niemiec. Ta sama młodzież wiązała się w organizacje konspiracyjne i podejmowała akty sabotażu. Zasługuje na podkreślenie praca bojowa B. Ch., które liczyły w powiecie częstochowskim około 1500 ludzi. Szła tam prasa ludowa i szła praca paraliżująca działalność okupanta. Całością akcji kierował komendant powiatowy B. Ch. Piotr Kuc — „Dąb", człowiek wiejski, przedwojenny wiciarz, gospodarujący obecnie na paru morgach w Zimnej Wodzie.

Wróćmy jednak do dni dzisiejszych. Zastanówmy się przez chwilę, co by należało uczynić, żeby rozładować trudności i ciężkie warunki bytowania w chałupach wiejskich? Jeśli chodzi o działanie na długą metę, to jest tylko jedna droga: oto z tych drobnych karłowatych, niezdatnych do życia gospodarstw, powinny w przyszłości powstać gospodarstwa pełnorolne. Nastąpi to wówczas, gdy z przeludnionej wsi częstochowskiej znaczny procent ludności odpłynie do przemysłu. Na innej drodze stałej poprawy się nie znajdzie. Wszystkie inne środki będą tylko plasterkiem, chwilowo uśmierzającym największe bóle biedy wiejskiej. Nie chcą nieraz ludzie wiejscy takiej prawdy słyszeć, ale taka ona jest, na to wskazują przykłady krajów europejskich. Kraje typowo rolnicze, jak Rumunia, Bułgaria, Jugosławia, były jednocześnie krajami biedy rolniczo-wiejskiej, zacofania technicznego, niskiego poziomu bytowania pod każdym względem. Uprzemysłowiony Zachód dawał wyższy poziom życia — liczne linie kolejowe i drogi bite, elektryfikację, szeroko stosowaną technikę maszynową. To są fakty!

Uprzemysłowienie kraju — tak dziś mocno postawione przez rząd Polski Ludowej — stopniowo spowoduje gruntowne przemiany na wsi i stworzy trwałe podstawy do lepszego bytu chłopa rolnika. Ale tu dziś żyć trzeba! Otóż to, więc ludzie ratują się jak mogą. Sporo rodzin wyjechało na Ziemie Zachodnie i niewątpliwie wyjedzie jeszcze więcej. W niektórych wsiach są możliwości zarobku w miejscowym przemyśle — kopalniach rudy żelaznej, wapiennikach itp. Wiele gospodarstw i wsi, obok uprawy żyta i kartofli, przerzuciło się na bardziej opłacalną uprawę warzyw. W niektórych gminach, jak Kamyk, Miedzno, Lipie, Opatów i innych zwraca uwagę duża ilość truskawczarni. Są gospodarze, którzy prowadzą truskawczarnie na dwóch morgach. W porze zbioru owoców panuje w tych wsiach ruch jak w żniwa.

— Kto zakupuje truskawki?

— Kupcy handlarze, przyjeżdżający samochodami z pobliskiego Śląska i Łodzi.

Ciekawią nas ceny. Z przykrością stwierdzamy, że rolnicy zdani są na łaskę i niełaskę pośredników. Jednego dnia za ten sam gatunek owoców ktoś otrzymuje 80 zł, a inny 50 zł. Wszystko zależy od tego, ilu tych panów kupców przyjedzie do wsi po towar. Z tego wniosek oczywisty: należy zainteresować się około organizacji zbytu. Winni się tym zająć sami zainteresowani rolnicy przez swoje placówki spółdzielcze.

Życie polityczne w powiecie — żeby tak powiedzieć — wyrównuje się, zacierają się panujące dawniej antagonizmy. Stwierdzić można zupełny spokój, powstała atmosfera do zgodnej i harmonijnej współpracy działaczy wszystkich ugrupowań demokratycznych. Do tej pracy stają obok innych i członkowie Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Wędrowiec.

STANISŁAW BARTKIEWICZ
Brzezie pow. Opatów

Ziemia Opatowska w pracy Wiciowej

Ziemia opatowsko - sandomierska tak słynna z urodzajności, ziemia pszennoburaczana, rozciągające się od Gór Świętokrzyskich aż po Sandomierz — jest zawsze pełna czaru i budzi w tutejszych mieszkańcach sentyment. Ziemia ta znalazła swoje miejsce we wspomnieniach historycznych i literackich. Istnieją wspomnienia z walk powstańczych, wiele miejsca poświęcił w swych książkach tym okolicom Stefan Żeromski. Tutaj rozkrzewił się silnie ruch społeczny a zwłaszcza Ruch Ludowy, który mocnymi korzeniami wrósł w ziemię. Ziemia ta wydała wybitnych działaczy znanych w Ruchu Ludowym, że wymienię tylko już nieżyjącego śp. Bolesława Babskiego, pierwszego redaktora „Wici". Znani są ogółowi społeczeństwa poeci i pisarze chłopscy, jak poeta Wojciech Skuza, zamordowany przez niemców Roman Koseła, i utalentowany ociński pisarz Wincenty Burek, autor książki „Droga przez wieś".

Jeśli chodzi o ruch wiciowy, to jego przejawy na tej ziemi datują się jeszcze przed pierwszą wojną światową, by później objąć już szeroko młodzież wiejską.

Chociaż wojna, a zwłaszcza działania wojenne na przyczółku Sandomierz — Baranów dotknęły tutejszą ziemię — to ludzie jednak nie tracą nadziei i zapobiegliwością i uporem chłopskim odbudowują się, bo taki jest nakaz instynktu chłopskiego. Ziemia musi być zaorana, uprawiona i obsiana. Powiatowy Związek „Wici" powiatu opatowskiego, pomimo tak ciężkich warunków powojennych, wykazał wiele ruchliwości i posiada za sobą piękny dorobek organizacyjny. Działalność organizacyjną Związku rozpoczęto zaraz po wyzwoleniu. W końcu 1947 r. stan Kół wynosił 120 w powiecie.

Od pierwszej chwili uruchomienia swej pracy „Wici" podjęły rokowania". M. inn. z inicjatywy „Wici" został stworzony fundusz stypendialny im. Bolesława Babskiego, który przetrwał do bież. roku, udzielając przez dwa lata stypendia zdolnej a niezamożnej młodzieży chłopskiej, kształcącej się w szkołach wyższych średnich, zawodowych i uniwersytetach ludowych. Choć sumy te nie były wielkie, bo wypłacono 52 tysiące złotych rocznie — to jednak ta skromna pomoc wiązała młodzież ze wsią, z Ruchem Ludowym.

Wiciowcy od samego początku brali czynny udział w budowie Polski Ludowej. Wielu członków brało udział w parcelacji majątków, w pracach spółdzielczych, politycznych i administracyjnych. W roku 1946 Związek Powiatowy wykazał duży wkład w akcji spółdzielczo-parcelacyjne na Ziemiach Odzyskanych. Z chwilą uporządkowania wewnętrznych spraw związkowych jeszcze w większym stopniu położono nacisk na prace konkretne, jak przysposobienie rolniczo-gospodarcze młodzieży. Nawiązano ścisły kontakt ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, członkowie „Wici" wzięli udział w gminnych radach narodowych, w radzie powiatowej, w pracach PRW i i wielu innych. Współpracowano również ściśle z Chłopskim Towarzystwem Przyjaciół Dzieci, które może się poszczycić tak samo pięknym dorobkiem.

Udział wiciowców zaznaczył się we wszystkich odcinkach życia. W roku ub. zorganizowano w porze zimowej 5-miesięczny kurs kroju i szycia, jesienią drugi taki sam, a obecnie są prowadzone trzy takie kursy w powiecie.

W ramach współpracy organizacyjnej z młodzieżą robotniczą urządzono wspólnie kurs teatralno-świetlicowy w Opatowie, w którym wzięło udział 62 osoby.

Wiciarze powiatu opatowskiego nie próżnują!

S. B.

---

gdy wrócił tam po pracy w południe. Przybyli, aby łowić okonie, ale Sawyer pociągnął zaraz Martina na bok.

— Jak stoją sprawy kooperatywy stowarzyszenia? — zapytał z zainteresowaniem. Czy wszyscy się zgadzają?

— Tak — mruknął Martin.

Sawyer, pamiętając entuzjazm, z jakim Martin niedawno wyłuszczał mu swój plan, spojrzał nań przenikliwie.

— Czy coś nie jest w porządku? — zapytał.

Martin zawahał się. Było mu przykro zwracać się o pomoc do obcego, ale wpadło mu na myśl, że Sawyer nie jest właściwie obcy, raczej jeden ze starej gwardii. I nagle opowiedział wszystko bankierowi. Podczas gdy mówił, uśmiech znikał stopniowo z twarzy starego pana. Siedział i patrzył w zamyśleniu nieruchomo przed siebie. On sam pochodził też z lasów. Znał temperament tutejszych ludzi i kochał ich.

— Tak, tak — mówił w zamyśleniu. — To nie jest w porządku. To wcale nie jest w porządku.

— Czy przysługuje im prawo strzelania do ludzi, mr. Sawyer? — pytał Martin. — Pan wie, tutejsi chłopcy porwą się na nich. Keener przecież nie wie, z jakimi ludźmi ma do czynienia, dlatego.... — Martin nagle urwał. Sawyer spojrzał nań tak dziwnie.

— Niestety muszę stwierdzić, że się pan myli, Martin — powiedział bankier. — On wie o tym doskonale.

— Co takiego? On wie o tym, że — że to musi pociągnąć za sobą nieprzyjemności, a mimo to robi to?

— Tak.

Sawyer cicho odchrząknął.

— Mister Keener odkrył, że stowarzyszenie farmerów przeszkadza mu zarobić w łatwy sposób całą moc pieniędzy. Nie życzy sobie przeto, by nadal istniało. Wie o tym, jak się chłopcy tutejsi zachowają na wieść, że każdy, kto się zbliży do tamy będzie zastrzelony i wie, — że gdy kilku zamkną, trudno będzie dalej pracować. Rozumie pan! Zwłaszcza, gdy pan sam będzie jednym z tych, którzy się w tę historię zaplączą.

— Ach tak!

— Nie sądzę, by miał zamiar dopuścić do otwartej walki — ciągnął dalej Sawyer. — Uzyskał prawo wystawienia wart na górze. Orientuje się dobrze z jakimi ludźmi ma tu doczynienia i jak wy się na to zapatrujecie. Wiem to z pewnością.

Pochylił się i uderzył Martina w kolano.

— Calkins, pan musi trzymać się z daleka.

— To jest nie do przeprowadzenia, gdy reszta o tym posłyszy.

— Nie, nie. Nie mówię o innych, znam ich. Mam na myśli pana samego. Cokolwiek by zaszło, nie wolno ci brać udziału. Stowarzyszeniem farmerów zapoczątkowałeś wielkie dzieło. Jeśli przetrwa rok, będzie dalej istnieć. Dziś jest pan jeszcze duszą wszystkiego. Jeśli zaplącze się pan w jakąkolwiek nieprzyjemność, całe stowarzyszenie rozpadnie się. Dlatego też musi pan być szczególnie ostrożny.

— Dokładnie tak samo mówił onegdaj Simpson — powiedział Martin.

— Mówiłem z nim o tym — tłumaczył Sawyer.

— Nie przyszedłem tu tylko po to, aby łowić ryby. Jest gorzej niż wygląda. Ci ludzie są potężni i mają dużo pieniędzy. Tyle, że ja nie mam dość siły, aby wam pomóc. Jak tylko popełnicie jakiś błąd, Keener zręcznie przyskoczy i wyciągnie z tego swoją korzyść.

— Czemu nie może nam pan pomóc? — upierał się Martin.

— Keener nie słuchałby mnie. Wie, że jestem tutejszy. Ale myślałem sobie, że tu jest sędzia Holcomb Może Keener będzie zważał na jeog słowa.

Martin nie dziwił się, że sędzia Holcomb od razu dał się pozyskać dla planów Sawyera. Wiedział, że sędzia był dość zadłużony. Martin powtórzył swą historię, a Holcomb patrzył na Sawyera, jakby chciał dowiedzieć się, jakie ma poczynić kroki.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan porozmawia z Kennerem — powiedział bankier, jakby od niechcenia. — Nie chcielibyśmy, aby rozpętało się piekło.

Sędzia Holcomb zgiął się w uprzejmym ukłonie.

— Będę to uważał za obowiązek i zaszczytne zadanie, zaznajomić mr. Keenera z powagą sytuacji i omówić z nim sprawę. Jak pan powiada, Sawyer, nie chcemy, aby dobre imię naszego okręgu zostało splamione.

— Tak, tak — przerwał niecierpliwie Sawyer. — W każdym bądź razie, idź pan do niego.

Holcomb zwrócił się powoli do Martina.

— W przyszły wtorek jest czwarty lipca — powiedział z naciskiem.

— Prawda. W nawale zajęć omal, że o tym nie zapomniałem.

— Przyjmuję, że tutejsi ludzie będą obchodzić jak zwykle święto niepodległości w szkole Lee'a.

— Tak.

Sędzia Holcomb siedział wyczekująco. Dookoła jego szerokich ust błąkał się lekki uśmieszek. Martin zastanowił się. Czegoś spodziewano się po nim. Spojrzał zezem na Sawyera.

Ten położył rękę na rozwichrzonej brodzie, aby ukryć uśmiech. Ale podejrzane błyski były w jego oczach. Nagle Martin zrozumiał, dlaczego sędzia Holcomb przyszedł na górę.

— Sędzio Holcomb — jąkał się. — Dotychczas nie mamy jeszcze mówcy, gdyby pan...

— Chętnie przyjmie — powiedział powoli Sawyer. — Podejmie się tego zaszczytnego zadania.

XXIV.

4 lipca o 1-szej w południe, wolny plac przed szkołą, podobny był do obozowiska. Już o dziesiątej rano przybyli poszczególni farmerzy, ale dochodziła dwunasta, gdy przywiązano ostatnie zaprzęgi do żerdzi pod cienistymi jodłami. Wielu ludzi było od samego brzasku w drodze. Teraz mogli przez parę godzin wykorzystać rzadką okazję przebywania razem ze swoimi sąsiadami. Potem pojadą w mroku wieczornym do domu i gdzieś około świtania wrócą do swoich posiadłości. W chwili obecnej przywiązywali zaprzęgi, karmili konie i robili uwagi o suszy i niebezpieczeństwie pożaru; kobiety natomiast wyciągnęły bezzwłocznie swoje kobiałki z zapasami. Wreszcie uczta się skończyła, sprzątnięto resztki i miała się rozpocząć uroczystość.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

SZUKAMY NAFTY

KIELECKIE „POLA NAFTOWE"

Między południowo-wschodnimi stokami Gór Świętokrzyskich a Wisłą — szczególnie w okolicach Wójczy w stopnickim — istnieją silne wycieki ropy naftowej. Miejscami tworzą one osad tak gęsty, że chłopi używają go jako smaru do wozów.

W celu odszukania ewentualnego złoża roponośnego przystąpiono w kilku miejscowościach do wierceń poszukiwawczych. Płytkich wierceń dokonano m. in. w Zborówku i Kocowej, przy czym w Zborówku wywiercono w ciągu pierwszych 9 dni 252 m otworu, osiągając rekordowy w naszych warunkach postęp wiercenia. Wiercenia, przeprowadzone w Busku i Solcu, miały na celu zbadanie struktur geologicznych. W Busku nawiercono przy tej okazji nową solankę leczniczą, którą przekazano Zakładowi Zdrojowemu. Od końca listopada ub. r. dokonuje się głębokich wierceń w Żołczy pod Wójczą.

*

Na wysokim wzniesieniu nad łąkami, ciągnącymi się od Piestrzca aż do samej Wisły, wznosi się wysoka wieża wiertnicza. Jej białe deski odcinają się ostro od błękitnawego zawiśla. Dymy z kotłowni wieją w dolinę, a monotonny warkot świdrów i maszyn tłucze się po łąkach i polach.

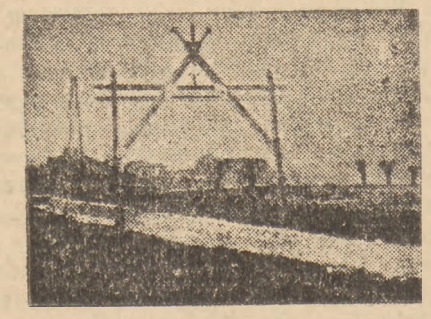

Brama wjazdowa na tereny naftowe

Nad bramą napis: Państwowe Przedsiębiorstwo „Wiercenia Poszukiwawcze". Kopalnia Żołcza.

Jesteśmy już więc na kieleckich „polach naftowych".

*

Po kopalni oprowadza nas jej kierownik, inż. Fr. Sieniawski.

— Zanim uruchomiliśmy tą kopalnię — opowiada — zanim rozpoczęliśmy wiercenia, musieliśmy pokonać olbrzymie trudności; największe nastręczał nam transport maszyn. Wskutek zniszczenia mostu kolejowego na Wiśle, sprowadzane maszyny trzeba było przeładowywać na galary, przewozić przez rzekę i znowu ładować na samochody. A niektóre z nich, proszę państwa, ważyły po 14 ton i więcej...

Często poziom wody był tak wysoki, że żerdzie nie chwytały dna; kilka razy musieliśmy nocować na rzece. Myśleliśmy wtedy, że skostniejemy, że pomarzniemy do rana. Kilka razy omal nie zatopiła nas kra. Ile trudu kosztowało nas przetransportowanie maszyn, przerzucenie ich przez Wisłę i dostarczenie do kopalni — trudno opowiedzieć.

15 kwietnia ub. roku rozpoczęliśmy montaż maszyn, a w 7 miesięcy później (26.XI) przystąpiliśmy do wierceń. Przez 4 dni listopada uwierciliśmy pierwsze 11 m, w grudniu 121,4 m, w styczniu 101 m (126% planu), a w lutym 201 m (157% planu). Z każdym miesiącem nadwyżka wykonania nad planem wzrasta.

Przeciętnie wiercimy 1 m na godzinę, choć bywa, że urobek dzienny nie przekracza 50 — 60 cm. Takie wypadki zachodzą wtedy, gdy trzeba zmieniać świder, jeśli źle wierci, albo wyjmować ułamany. Zmiana świdra zajmuje kilka godzin, natomiast wydobycie urwanego, jeśli zakopie się w ziemię lub w ścianę otworu, trwa nieraz i kilka dni.

Dotychczas uwierciliśmy sześćset kilkadziesiąt metrów; plan wierceń przewiduje dowiercenie do 2.400 m głębokości. Jeśli kopalnia będzie dysponowała odpowiednimi narzędziami, osiągniemy tę głębokość mniej więcej za rok.

*

Kopalnia w Żołczy zatrudnia 50 robotników. 32 — to „nafciarze" z Krosna; reszta — to miejscowi chłopi.

Zarobek miesięczny robotnika na kopalni razem z dodatkiem polowym i premiami od metrówek wynosi od 9 do 11 tys. zł. miesięcznie (plus bezpłatna stołówka). Trzeba jednak pamiętać, że robotnicy ci mają rodziny w Krośnie, które muszą utrzymywać.

Robotnicy ci wiedzą jednak, jak bardzo potrzebna jest Polsce nafta. Szukają więc jej cierpliwie, nie zważając na ciężkie chwilowo warunki pracy.

Kierownictwo kopalni stara się uczynić im pobyt na żołczańskim odludzi jak najbardziej znośnym. Robotnicy mieszkają w barakach, po 2 w jednej izdebce. Mają tu on łaźnię, świetlicę, w świetlicy radio, gry, kilka pism. Bibliotekę.

Nawiasem jednak mówiąc: pism jest 4, a książek 20.

Wiele trudności nastręcza kopalni brak jakiejkolwiek komunikacji. Problemu tego nie rozwiązuje jeden własny, ciężarowy samochód. Kopalnia musi przecież ciągle sprowadzać tlen, karbid do spawania, części do maszyn. Samego tylko oleju gazowego sprowadza ona 15 ton miesięcznie.

Brak również telefonu; najbliższy telefon w Szczucinie lub w Korczynie (17 km). A tymczasem telefon w kopalni konieczny. Jak to mówią: — wypadki chodzą po ludziach...

*

Wiercenia w kopalni w Żołczy wykonuje się głównie systemem tzw. rotacyjnym. Poruszany przez elektryczny motor świder drąży skałę za pomocą trzech krążków (gryzaków). Przez rury wiertnicze, łączące świder z motorem, przepływa płuczka (roztwór iłu z wodą, który otrzymujemy przez dodanie ok. 400 kg iłu na 1 m^3 wody). Przez otwór w głowicy świdra wypływa ona z rur i wraca do góry otworem wiertniczym, wynosząc na powierzchnię okruchy skał, wywiercone przez świder. Okruchy te odsiewane są następnie na sicie wibrującym, a czysta płuczka, tłoczona przez pompy, wraca z powrotem do rur wiertniczych.

Płuczka spełnia zatem ważną rolę w wierceniu: ochładza narzędzie wiertnicze i wypłukuje okruchy skał, które, pozostając na dole, mogły by spowodować złamanie świdra i uniemożliwiły by wiercenie.

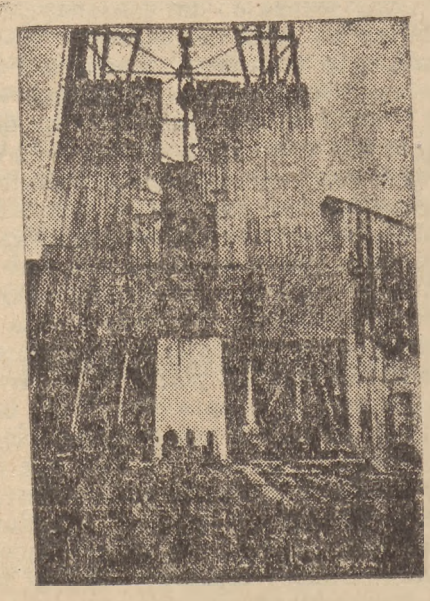

Wieża wiertnicza w Żołczy

Urwany świder lub jego część wydobywa się za pomocą aparatu, przystosowanego do pobierania z ziemi rdzenia (przy wierceniu udarowym). Jest to jednak praca niezmiernie trudna, a często wręcz niemożliwa. W takim wypadku trzeba dno otworu zacementować i dalej wiercić obok; nieraz nawet trzeba przerwać wiercenie.

Aby uniknąć częstych wypadków, materiał, z którego wykonany jest cały przewód wiertniczy wraz ze świdrem, musi wykazywać wysokie zalety: wytrzymałość na uderzenia, ścieranie, skręcanie, ściskanie i rozciąganie. Używa się w tym celu stali najwyższych gatunków.

*

Najlepsze są świdry pochodzenia amerykańskiego, tzw. gryzaki. W kraju świdrów takich nie produkujemy, a nabycie ich zagranicą nie jest również łatwe. Stąd też gospodaruje się nimi nadzwyczaj oszczędnie.

Pod ścianą magazynu leży kilkanaście sztuk tych świdrów. Wszystkie niby zużyte, wytarte; nie wyrzuca się ich jednak. Może kiedyś, po wyczerpaniu zapasu, zajdzie potrzeba użycia ich ponownie. Co dziś złe — jutro może znów przyjdzie uznać za dobre.

— Z tymi świdrami — opowiada jeden z robotników — to tak, jak z wiśniami, które chłop zabrał raz sobie w lecie na drogę. Spróbował, że kwaśne, więc wyrzucił do rowu i — za przeproszeniem — nasrał na nie. Po południu wraca, a z nieba taki gorąc się leje, że aż mu język zbielał. Patrzy, a tu w rowie wiśnie. Poznaje — te same, które sam oblał. No, ale nic: siada w rowie i przebiera. Ta — mówi — oblana, ta nieoblana. I te nieoblane zjada. Tak je jadł po kolei, aż została jedna. I ta też — mówi — nieoblana. Zjadł wszystkie.

To samo z tymi gryzikami. Dziś złe, a za miesiąc, czy za dwa będzie się je przebierać: ten zły, ten dobry. I okaże się, że — wszystkie dobre. Dlatego też — na wszelki wypadek — nie wyrzucamy ich jeszcze.

Brak narzędzi wiertniczych odbija się ujemnie na postępie wierceń. Gdybyśmy posiadali własne fabryki narzędzi wiertniczych, mogli byśmy prowadzić wiercenia bardziej intensywnie.

*

Inż. Sieniawski pracuje w nafcie kilkanaście lat. Pracował w Ameryce, w Iranie, w ZSRR. Starszy wiertacz Dynowski większą część swego życia spędził w kopalniach nafty w Indiach, w Argentynie, w Czechosłowacji. W ciągu ostatnich lat przed wojną wydobywali naftę w Borysławiu. Dziś poszukują pól naftowych w Kieleckim, koło Stopnicy.

— Czy możliwe jest tu dowiercenie się nafty? — pytamy.

— Niewątpliwie tak. Nie wiadomo tylko, czy występuje tu ona w takiej ilości, która uczyniła by jej eksploatację opłacalną. Można tu jednak natrafić również na gaz, który jest również olbrzymim bogactwem.

Obaj nafciarze przytaczają ze swych bogatych wspomnień cały szereg faktów, świadczących o tym, jak to często po długich, bezowocnych poszukiwaniach jedno szczęśliwe uderzenie świdra naprowadzało na niewyczerpane źródła naftowe, które bezużyteczne, jałowe tereny zamieniały w ziemię obiecaną. Tak było chociażby — żeby nie szukać daleko — z Borysławiem.

*

Tak to więc: jedno szczęśliwe uderzenie świdra — a na miejsce żołczańskiego pustkowia wystrzelą ku górze liczne wieże wiertnicze i szyby, wyrośnie miasto naftowe, do którego napłyną tysiącami nafciarze spod Krosna, repatrianci z za Buga i małorolni chłopi z najbiedniejszych powiatów Kielecczyzny.

A wtedy, choć nafty będzie pod dostatkiem, znikną naftowe lampki ze wsi. Zapali się wszędzie widne, elektryczne światło. Wzrośnie dobrobyt.

Elektryczność zastąpi naftę, a ropa pójdzie na przeróbkę na parafinę, wazelinę, asfalt, na rozmaite inne produkty. Na benzynę i oleje dla samolotów, samochodów, dla traktorów, które wyjadą za ludzi w pole orać, rżnąć, młócić.

Byle tylko trafić... Chodzi właśnie o to jedno szczęśliwe uderzenie.

*

Świder huczy w ziemi, zanosi się warkotem. Szarpie się i miota. Dygoce. Jego głos leci na całą okolicę.

A chłopi z okolicznych wsi wyglądają tylko od czasu do czasu, czy z nad wieży wiertniczej w Żołczy nie strzela już w niebo zielony strumień nafty.

M. Mludzik

Piryt, najcenniejszy minerał Gór Świętokrzyskich

Jednym z najcenniejszych bogactw naturalnych Gór Świętokrzyskich jest piryt, czyli siarczek żelazawy. Minerał ten jest najważniejszym surowcem, służącym do wyrobu kwasu siarkowego, kwas siarkowy zaś jest najcenniejszym półfabrykatem w przemyśle chemicznym. Używany jest przy produkcji nawozów sztucznych, materiałów wybuchowych, barwników, kwasu solnego i azotowego i wielu innych produktów. Bez przesady można więc powiedzieć, że piryt jest podstawowym surowcem w przemyśle chemicznym.

Pozostałość po wyprażeniu pirytu na kwas siarkowy idzie do pieców hutniczych do przeróbki na żelazo. Piryt zawiera bowiem 53,3% siarki i 46,7% żelaza.

Do 1933 r. sprowadzaliśmy piryt z Hiszpanii. Prowadzone przez wiele lat badania geologiczne doprowadziły do odkrycia dużych złóż pirytu w Rudkach pod Św. Krzyżem. Powstała tu kopalnia „Staszic", która rozwijała się szybko, podnosząc z roku na rok swoją wydajność. Podczas gdy w roku 1933, w pierwszym roku swego istnienia wydobyła ona tylko 1500 ton pirytu, to w 3 lata później wydobycie to przekroczyło 35.000 ton.

W czasie okupacji Niemcy rozbudowali kopalnię, starając się osiągnąć maksimum wydobycia pirytu dla swych celów wojennych. Uchodząc, zrabowali z kopalni wszystkie urządzenia, pozostawiając ją w stanie zupełnego zniszczenia. Dzięki wysiłkowi polskiego inżyniera i robotnika w krótkim czasie zniszczenia usunięto, a po sprowadzeniu z zagranicy nowoczesnych maszyn uruchomiono kopalnię. Zatrudnia dziś ona ponad 600 robotników, a obecne wydobycie pirytu w stosunku do przedwojennego, kilkakrotnie wzrosło. Robotnikami w kopalni są okoliczni małorolni chłopi.

Obok pirytu wydobywa się w Rudkach syderyt, stanowiący doskonałą rudę żelazną i hematyt, znajdujący zastosowanie w przemyśle chemicznym. Obecnie buduje się na kopalni tzw. „prażak" dla wstępnej produkcji syderytu.

Państwowy Instytut Geologiczny prowadzi w okolicy Rudek intensywne badania celem odkrycia przedłużenia żył pirytu. Badania te dają pomyślne rezultaty. Dotychczas stwierdzono przedłużenia żył pirytu w kierunku Bostowa i Chybic.

W związku z tym PKP zadecydowały budowę kolejki, która połączy kopalnię z Wierzbnikiem. Kolejka ta doprowadzona zostanie z czasem do Słupi, Łagowa i Złotej Wody, co przyczyni się do rozwiązania problemu komunikacyjnego w tej części ziemi kieleckiej, odciętej dotychczas od świata. Kolejka, łącząca obecnie Rudki z Zagnańskiem, a przebiegająca skrajem Puszczy Jodłowej, będzie rozebrana. (m).

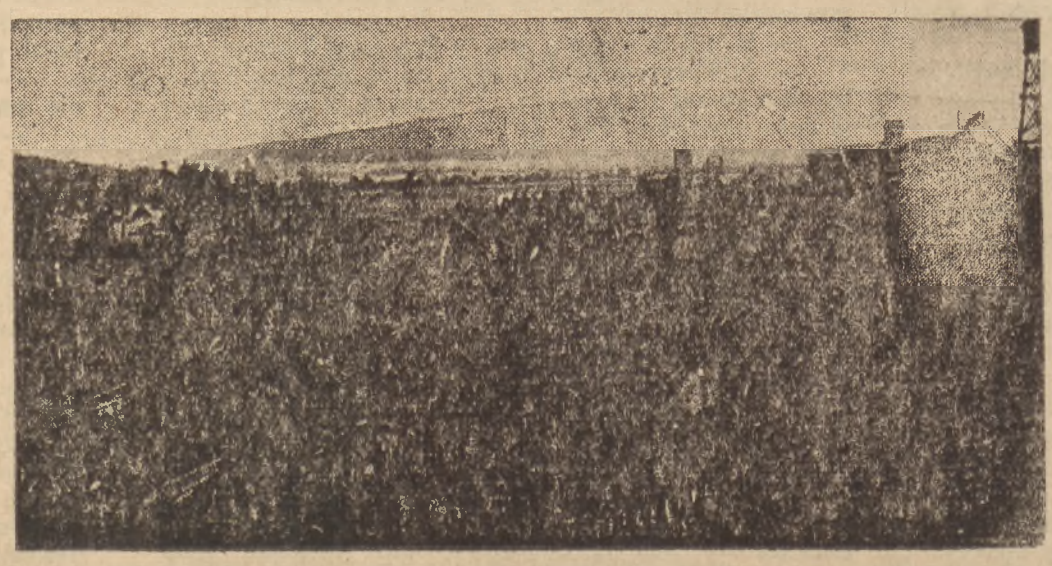

Kopalnia pirytu w Rudkach. Na prawo szyb wyciągowy; na lewo zagłębienie, gdzie wydobywa się syderyt (systemem odkrywkowym). W głębi Święty Krzyż.

Posiedzenie Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL

W sobotę, 10 bm., odbyło się całodzienne posiedzenie Plenum NKW PSL. Przedmiotem narad były m. in. sprawa jedności organizacji młodzieżowych, współdziałanie PSL i SL oraz sprawa Święta Ludowego.

Obradom przewodniczył Prezes Józef Niećko.

Referaty polityczne wygłosili: Wiceprezes NKW PSL pos. Czesław Wycech, oraz Sekretarz Naczelny pos. Kazimierz Banach.

PSL za zjednoczeniem org. młodzieżowych

W sprawie zjednoczenia organizacji młodzieżowych podjęto uchwałę następującą:

Demokracja ludowa na naczelnym miejscu stawia jedność celów i potrzeb całego świata pracy chłopów, robotników i inteligencji pracującej.

Sprzeczność interesów, odrębności w metodach pracy, w świadomości i stopniu dojrzałości poszczególnych grup w miarę ugruntowywania się demokracji ludowej maleją i będą maleć, czego wyrazem zewnętrznym są coraz intensywniejsze procesy zjednoczeniowe, przebiegające w naszym społeczeństwie.

Najżywiej i najszybciej procesy te przebiegają w środowiskach młodzieży, w których sprawa oblicza przyszłości, za którą młodzież będzie ponosić odpowiedzialność, wysuwa się jako sprawa najważniejsza.

Związek Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici", który w życie przedwojenne Polski wniósł wielki wkład w walkę o postęp, a w czasie okupacji był czynnikiem kierującym i trzonem sił chłopskich w walce z hitlerowskim najazdem — dziś w zrozumieniu potrzeb państwa ludowego, w celu wzmożenia sił i spoistości demokracji ludowej zdecydowanie dąży do jedności organizacyjnej młodzieży świata pracy, wsi i miasta.

Polskie Stronnictwo Ludowe z uznaniem wita ten fakt, wzmocni on bowiem fundament demokracji ludowej, sojusz chłopsko-robotniczy, a przez to przyczyni się do wzrostu sił postępu budujących Polskę Ludową.

NKW PSL wzywa cały zespół przodowniczy i aparat organizacyjny stronnictwa do najpełniejszego poparcia w środowisku wiejskim poczynań władz Z. M. W. R. P. „Wici", zmierzających do jedności organizacyjnej demokratycznego ruchu młodzieży polskiej.

W sprawie Święta Ludowego

NKW PSL w dniu 10 kwietnia b. r. uchwalił wezwać chłopów do masowego udziału w Święcie Ludowym, organizowanym wspólnie przez PSL, SL, ZMW R. P. „Wici" i Z. S. Ch. Szczegółowe informacje dla organizacji terenowych wyda Sekretariat Naczelny.

W sprawie Święta 1 Maja

NKW PSL wzywa ogół członków i sympatyków Stronnictwa oraz organizacje terenowe do masowego udziału w uroczystościach Święta Pracy 1-go Maja, celem zamanifestowania w tym dniu spoistości i siły sojuszu chłopsko-robotniczego i wspólnej woli mas pracujących, wsi i miast, osiągnięcia jak najwspanialszych wyników w budownictwie Polski Ludowej.

Pierwszy Maj jest świętem każdego człowieka pracy

Obowiązek społecznego oszczędzania

Obowiązek społecznego oszczędzania na obywateli nakłada ustawa z 30 stycznia br. (Dz. Ustaw nr. 10 poz. 74) i rozporządzenie wykonawcze tej ustawy z 12 marca br. (Dz. Ustaw nr. 14 poz. 106). Rolnicy powinni się zaznajomić z tymi przepisami.

Obowiązek społecznego oszczędzania wprowadzono celem przyśpieszenia odbudowy kraju. Idzie również o to, żeby, jak powiada ustawa, nadać nakładom gospodarczym dokonywanym przez prywatnych przedsiębiorców czy rolników kierunek zgodny z wytycznymi ogólnonarodowego planu gospodarczego.

Obowiązek społecznego oszczędzania, gdy idzie o rolników, obciąża tych, którzy opłacają podatek gruntowy od podstawy opodatkowania przekraczającej 60 kwintali żyta rocznie. Środki finansowe z tego będą gromadzone w Społecznym Funduszu Oszczędnościowym w którym dla rolnictwa wyodrębnia się specjalny dział zwany „funduszem B".

Osoba, obowiązana do wnoszenia rocznych wkładów oszczędnościowych nazywa się uczestnikiem Funduszu. Kwota którą obowiązany on jest wnosić co rok nazywa się rocznym wkładem oszczędnościowym, a ta, którą powinien w oznaczonym czasie wnieść na poczet rocznego wkładu — składką oszczędnościową.

Ogólna suma wniesiona przez poszczególnego uczestnika zwie się wkładem oszczędnościowym.

Składki oszczędnościowe o ile nie zostaną złożone we właściwym czasie, będą ściągane przymusowo, przyczem koszta egzekucyjne przypadają na rzecz władzy egzekucyjnej, a odsetki za zwłokę na rzecz Funduszu.

Ustalanie wysokości rocznych wkładów oszczędnościowych, zawiadamianie uczestników o ustalonych rocznych wkładach, wzywanie do zapłaty należy do zarządów gmin, a przyjmowanie wpłat do powiatowych Komunalnych Kas Oszczędności, które wydają książeczki oszczędnościowo-inwestycyjne, dokonują wpisów o wpłatach do tych książeczek oraz dokonują czynności związanych z wycofywaniem wkładów, zwrotami, odliczeniami, oprocentowaniem i wypłatami z jakiegokolwiek tytułu.

Każdy uczestnik Funduszu otrzymuje książeczkę oszczędnościowo - inwestycyjną, która dokładnie określa jej właściciela. Książeczek tych nie można odstępować. W wypadku zagubienia książeczki powiatowa K. K. O. wydaje na koszt właściciela duplikat.

Wkłady oszczędnościowo - inwestycyjne będą oprocentowane w wysokości 2 proc. rocznie. Oprocentowanie biegnie od 1 następnego miesiąca, który następuje po dacie wpłaty, a kończy się w ostatnim dniu miesiąca poprzedzającego wypłatę. Odsetek nie dolicza się do wkładu oszczędnościowego, lecz będą wypłacane uczestnikom w formie premii ubezpieczeniowej na wypadek śmierci. Powiatowa Komunalna Kasa Oszczędności otwierając lub zamykając konto oszczędnościowo - inwestycyjne, będzie podawać do Ubezpieczeń osobowych Pocztowej Kasy Oszczędnościowej dane o właścicielu tego konta. Wypłata świadczenia pośmiertnego będzie dokonywana na podstawie stanu książeczki oszcz.-inwest. na koniec roku poprzedzającego rok śmierci i składek ubezpieczeniowych, obliczonych według planu działalności, przy uwzględnieniu wieku zmarłego. Za uprawnionych do podjęcia świadczenia pośmiertnego uważa się małżonka, dzieci i rodziców uczestnika. Plan działalności i specjalna taryfa świadczeń pośmiertnych będą ustalone rok rocznie przez Ministra Skarbu na wniosek Pocztowej Kasy Oszczędności.

Wysokość stawki oszczędnościowej dla rolników nie może być wyższa od połowy wymiaru podatku gruntowego. Po wysłuchaniu opinii prezydium gminnej rady narodowej, zarząd gminy może częściowo lub całkowicie zwolnić od obowiązku wniesienia wkładu osobę znajdującą się w ciężkim położeniu materialnym, wywołanym zdarzeniami losowymi, albo też może podwyższyć wkład najwyżej o 50 proc. ponad normę, jeśli osoba znajduje się w wyjątkowo korzystnej sytuacji majątkowej, dzięki osiągnięciu środków z innych źródeł niż gospodarstwo rolne.

Dotąd jeszcze nie została ogłoszona wysokość stawek dla rolników, lecz uczestnik, który do 1 czerwca 1948 r. nie otrzyma zawiadomienia o ustalonym rocznym wkładzie oszczędnościowym, obowiązany jest do 1 lipca tego roku wpłacić zaliczkę w wysokości połowy należnej zaliczki na podatek gruntowy na 1948 r. jeśli opłaca podatek gruntowy od podstawy opodatkowania od 60 do 100 kwintali żyta. Jeżeli podstawa opodatkowania przekracza 100 kwintali żyta w wysokości całej zaliczki na podatek gruntowy.

Właściciel książeczki oszczędnościowej będzie mógł corocznie, poczynając od roku 1949 wycofać 5 proc. wkładu obliczonego na koniec poprzedniego roku kalendarzowego. Kwoty nie wycofane przenosi się na wolny rachunek oszczędnościowy; podjęcie należności z tego rachunku może nastąpić w każdym czasie.

W przypadku śmierci członka najbliższej rodziny, narodzin dziecka oraz ślubu uczestnika Funduszu lub jego dziecka, a także w przypadku, spowodowanej kalectwem lub nieuleczalną chorobą, trwałej niezdolności do pracy uczestnika lub jego najbliższej rodziny następuje zwrot części wkładu oszczędnościowego. Rolnicy mogą uzyskać zwrot części wkładu również wtedy, gdy utrzymują dziecko w szkole poza miejscem zamieszkania, w wypadku klęski żywiołowej oraz straty w inwentarzu żywym. Jednak łączna suma zwrotów w ciągu roku nie może przekroczyć 50 tys. zł.

W przypadku śmierci uczestnika funduszu winna nastąpić całkowita wypłata oszczędności do rąk spadkobiercy. Do zgłoszenia o zwrot trzeba dołączyć dowody urzędowe, stwierdzające fakty, uzasadniające zwrot, np. akt zejścia, akt urodzenia czy małżeństwa, zaświadczenie lekarza urzędowego, dowód zameldowania dziecka i zaświadczenie zakładu naukowego, zaświadczenie gminy o klęsce żywiołowej lub stracie w inwentarzu żywym. W tym zaświadczeniu powinna być wzmianka, czy uczestnik funduszu został z tego tytułu zwolniony od podatku gruntowego i w jakiej wysokości. Gdy uczestnik ukończy 65 lat może wycofać wkład, albo pobierać rentę dożywotnią, o ile nie ma dostatecznych środków utrzymania. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o zwolnieniach i pożyczkach. Otóż zwalnia się część wkładu oszczędnościowego, jeżeli środki pieniężne mają być przeznaczone na pokrycie zobowiązań z tytułu nakładów, uprawniających do złożenia wniosków o zwolnienie. Wniosek taki składa się do Banku Gospodarstwa Krajowego za pośrednictwem właściwej K. K. O. Za podstawę zwolnienia mogą być wzięte tylko te nakłady, których spis ustali Rada Ministrów.

Co do pożyczek, to uczestnicy Funduszu mają prawo do pożyczek, jeśli całkowicie uiścili składki, a inwestycja, na którą przeznacza się pożyczkę jest objęta państwowym planem inwestycyjnym. *(i)*

Odpowiedzi prawne

P. Waszczuk Tomasz, wieś Kostry Podsędkowiste, p. Wyszonki.

Pytacie się, jakie kroki należy poczynić, aby uzyskać niższą klasyfikację gleby w Waszej gromadzie, gdyż grunty użytkowane są najlichsze z całego powiatu, wymiar zaś podatku gruntowego tego nie uwzględnia.

Klasyfikację gleby wraz z podziałem na strefy ekonomiczne i grupy gospodarstw rolnych w powiecie przeprowadza Powiatowa Komisja do spraw podatku gruntowego. Wydaną przez nią opinię zatwierdza Prezydium Wojew. Rady Narodowej i na tej podstawie Ministerstwo ustala normę podstawową przychodowości z ha dla całego powiatu. W komisji tej winni zasiadać zawodowi rolnicy delegowani przez Powiatową Radę Narodową w liczbie trzech. Należy zatem odnieść się do tej komisji z żądaniem zmiany klasyfikacji gleby w Waszej gromadzie.

P. Stanisław Koleta, wieś Jakimowice, woj. łódzkie.

Pyta się Pan o spłatę kuponów od przedwojennej premiowej pożyczki dolarowej. Dowiadywaliśmy się w tej sprawie i poinformował nas Bank Narodowy, że na razie kuponów od tej pożyczki nie waloryzuje się ani nie spłaca. Należy więc jeszcze poczekać. Jeśli chodzi o drugą sprawę, mianowicie pożyczkę udzieloną przed wojną, to może Pan ją ściągać na drodze sądowej. Trudno jest z góry powiedzieć, jaką stopę waloryzacyjną zastosuje sąd, gdyż zależy to od charakteru pożyczki i stosunków majątkowych stron. Stałej stopy waloryzacyjnej dotąd nie ma, a sąd przeliczając pretensje przedwojenne, kieruje się względami słuszności.

Ludowiec z Ciechanowskiego.

Jeśli Pan sądzi, że Sąd, przeliczając długi przedwojenne, zastosował zbyt wysoki mnożnik, który, zdaniem Pana, jest niesłuszny, to miał Pan prawo wnieść apelację. W ciągu 7 dni od ogłoszenia wyroku należało wnieść o uzasadnienie wyroku na piśmie, a po uzasadnieniu przez Sąd należało w ciągu dwóch tygodni wnieść apelację do wyższego sądu. Jeśli ktoś przed wojną, opierając się na specjalnej ustawie, spłacił gotówką 50 zł zamiast 100 zł na raty, to spłata ta jako oparta na ustawie winna być ważną, należałoby tylko wykazać, że wymogi ustawowe zostały zachowane.

T. M. Czemierniki, pow. Lubartów.

Pyta się Pan, do kogo należą drzewa rosnące na granicy. Prawo rzeczowe ustala (art. 42), że drzewa i krzewy rosnące na granicy służą do wspólnego użytku sąsiadów. „Jeśli nie są one potrzebne do oznaczenia granicy, każdy z sąsiadów (art. 39) może żądać ich usunięcia na wspólny koszt. Sąsiad, żądający usunięcia ponosi sam koszty, jeżeli drugi sąsiad zrzeka się udziału we własności drzewa lub krzewu". Sąsiad więc winien był wpierw zwrócić się do Pana z żądaniem usunięcia drzew wspólnie i wówczas ścięte drzewa stanowiłyby waszą wspólną własność. Jeśli sąsiad nie zwrócił się do Pana wpierw z tym żądaniem, lecz bez wiedzy Pana samowolnie drzewa pościnał, może Pan żądać wydania połowy ściętych drzew. Na samej granicy, bez porozumienia się z sąsiadem, lepiej drzew nie sadzić, gdyż właściciel sąsiedniej nieruchomości może obciąć i zatrzymać dla siebie bez odszkodowania korzenie drzew lub krzewów, przechodzące z nieruchomości sąsiedniej.

Z okazji

Święta Ludowego

ukaże się specjalny numer

»Chłopi i Państwo«

Nadsyłajcie zamówienia

KRONIKA MIĘDZYNARODOWA

Wybory we Włoszech

Z żywym zainteresowaniem cały świat śledzi przebieg wyborów we Włoszech. Politycy amerykańscy postawili sobie za zadanie wesprzeć uległego im de Gasperiego i za wszelką cenę nie dopuścić do zwycięstwa bloku demokratycznego. Włochy bowiem są dla nich bardzo ważną bazą strategiczną w ich imperialistycznych planach przewodzenia całemu światu.

Do osiągnięcia tego celu dążą przez zastraszenie militarne i przez pożyczki dolarowe. Siłą i pieniędzmi chcą zniewolić inne narody. Już cała kampania wyborcza we Włoszech przygotowywała grunt dla zwycięstwa reakcyjnych rządów. Nie cofano się przed aktami terroru, gwałtu i fałszerstw. Bojówki faszystowskie dokonywały napadów na zgromadzenia partii postępowych, terroryzowały ludność lub tumaniły obiecankami o wielkiej pomocy Ameryki. To też atmosfera przedwyborcza we Włoszech była atmosferą przymusu moralnego i fizycznego. Tak wyglądają angloamerkańskie deklamacje o wolności przekonań.

W momencie, kiedy oddajemy numer do druku, jeszcze nie są podane oficjalne wyniki wyborów we Włoszech. Pierwsze wiadomości, jakie nadchodzą, świadczą, że rząd włoski nawet w dniu wyborów nie cofnął się przed represjami i fałszerstwami. Po ulicach miast włoskich w dniu wyborów przejeżdżały liczne auta pancerne i czołgi, zwłaszcza w dzielnicach robotniczych. Akcja ta miała na celu zastraszenie zwolenników frontu demokratycznego, aby nie głosowali przeciw reakcji.

Czy to wiele pomogło? Włoski świat pracy nie ugiął się przed terrorem i szedł do urn wyborczych aby złożyć swój głos zgodnie ze swym sumieniem i interesami świata pracy i demokracji.

Liczyli się z tym zwolennicy de Gasperiego toteż na wszelki wypadek już w pierwszych godzinach wyborów zastosowali fałszerstwa. I tak w Udine dopuszczono do głosowania 300 uchodźców ze strefy jugosłowiańskiej, aczkolwiek nie mieli oni prawa głosu. W prowincji Ancona wręczano wyborcom już wypełnione kartki. We Florencji wydawano fałszywe świadectwa lekarskie, mocą których uprawnionym do głosowania towarzyszyły osoby nie mające prawa głosu, po to, ażeby wrzucić swój głos do urny i przez to pomnożyć głosy dla reakcji. Watykan wydał specjalne polecenia dla kleru jak ma głosować, a kler włoski otrzymał wszelkie udogodnienia przy głosowaniu.

Chrześcijańska demokracja zmobilizowała wszelkie środki komunikacji, aby tylko umożliwić głosowanie swym zwolennikom.

Cała kampania przedwyborcza, jak i pierwsze sprawozdania z dnia wyborów świadczą nie tylko o terrorze, ale i o tym, że reakcjoniści i kapitaliści włoscy obawiali się sił postępowych, które bezspornie odniosłyby zwycięstwo, gdyby została zachowana i przestrzegana swoboda w akcji przedwyborczej, jak i w dniu wyborów.

Jest to niczym nie zaprzeczony fakt. To też, gdy nawet ogłoszenie oficjalnego wyniku wyborów będzie może opiewać zwycięstwo reakcji i zwolenników dolara — lud włoski będzie świadomym tego, że dokonano fałszerstwa, że wynik ten nie odpowiada rzeczywistości. Świadomi tego będą i zwycięzcy i należy przypuszczać, że źle się będą czuli, sprawując władzę, zdobytą siłą i fałszerstwem.

Nie znając jeszcze wyników wyborów, już dziś możemy z całą stanowczością stwierdzić, że włoski, postępowy świat pracy wykazał swą spoistość i niezłomną wolę wyprowadzenia Włoch na właściwe tory, uwolnienia ich od obcej przemocy amerykańskiej i zapewnienia narodowi włoskiemu rozwoju i dobrobytu przez przeprowadzenie postępowych reform.

Ten fakt jest wielce pouczający, bo nawet mimo chwilowej przegranej przyszłość Włoch leży jedynie w rękach świata pracy i do niego będzie należało trwałe zwycięstwo.

Przyczyny zawieszenia prac Sojuszniczej Rady Kontroli

W związku z oświadczeniem agencji Reutera i prasy zachodnio-niemieckiej, że niezwołanie posiedzenia Międzyaliancklej Rady Kontrolnej w dniu 10 kwietnia było wynikiem faktu, że ani mocarstwa zachodnie, ani Związek Radziecki nie życzą sobie wspólnego rozważania reformy walutowej w Niemczech, biuro informacyjne radzieckich władz wojskowych w Niemczech wydało oficjalny komunikat, stwierdzający, że powyższe doniesienia są „prowokacyjnymi kłamstwami". Komunikat radziecki stwierdza, że rozsiewanie takich fałszywych doniesień ma na celu przygotowanie gruntu dla oddzielnej reformy walutowej w Zachodnich Niemczech, której wynikiem będzie ostateczne rozbicie Niemiec na dwie części. Komunikat radziecki przypomina, że na propozycje delegata radzieckiego Międzyaliancka Rada Kontrolna w Berlinie przyjęła w dniu 11 lutego uchwałę, zalecającą reformę walutową wspólną dla wszystkich czterech stref.

Komunikat radziecki stwierdza dalej, że Związek Radziecki zaproponował finansowemu organowi Rady kontynuowanie prac przygotowawczych do reformy walutowej w Niemczech. Znakomita część tych prac była już przy współpracy czterech mocarstw wykonana. Propozycje te zostały, niestety, przez trzech zachodnich aliantów odrzucone.

Komunikat radziecki konkluduje przypomnieniem oświadczenia generała Robertsona 8 kwietnia b. r. na temat przygotowań do utworzenia państwa zachodnioniemieckiego, zwraca uwagę na to, że zachodnie władze okupacyjne od dawna miały w swych planach przeprowadzenie odrębnej reformy walutowej w Niemczech Zachodnich. Komunikat stwierdza wreszcie, że Anglo-Amerykanie ponoszą na skutek tego całą odpowiedzialność za akcję rozbicia Niemiec, prowadzącą do chaosu ekonomicznego w całym kraju.

Konferencja Panamerykańska w Bogocie

Dziewiąta konferencja panamerykańska, która rozpoczęła się 30 marca w Bogocie (stolicy Kolumbii), nie ma szczęścia. W tym samym czasie, gdy przedstawiciele Stanów Zjednoczonych usiłowali przekonać przedstawicieli innych republik amerykańskich o „wzniosłości celów", które rząd USA rad by był widzieć, aby były zgodnie realizowane przez wszystkie republiki amerykańskie — lud kolumbijski zaprotestował. Po kilkudniowej przerwie, spowodowanej rewolucją, konferencja panamerykańska wznowiła obrady.

Obecnie cała prasa amerykańska, z małymi wyjątkami entuzjastycznie komentuje oświadczenie min. Marschalla, że rewolucja w Bogocie zorganizowana była przez „komunistów". Prasa ta, będąca na usługach trustów, twierdzi, że z pewnością od tej chwili wewnętrzne stosunki zachodniej półkuli układać się będą spokojniej. Koła, zbliżone do amerykańskiego Departamentu Stanu spodziewają się, że drażliwe pytania przedstawicieli republik Ameryki Łacińskiej na temat wojskowej i ekonomicznej polityki USA nie będą już nadal wysuwane. Obecnie wydana zostanie „jednolita" deklaracja państw nowego kontynentu, przeciwko „komunistycznym piątym kolumnom".

Nikt z uważnych obserwatorów wydarzeń w Ameryce Łacińskiej nie uwierzy w opowieści o konspiracji komunistycznej w Bogocie. Liczba członków kolumbijskiej partii komunistycznej jest bardzo niewielka, a bunt, który nastąpił po zabójstwie przywódcy liberalnego, Gattana, był spontanicznym wyrazem nienawiści eksploatowanego ludu przeciwko konserwatywnemu i reakcyjnemu rządowi prezydenta Pereza.

Gattan, demagog w typie Perona, dla którego partia liberalna była środkiem do zaspokojenia własnych, dyktatorskich ambicji, nie był ani komunistą, ani socjalistą. W umysłach wielkich posiadaczy ziemskich był on jednak niebezpiecznym, ponieważ posiadał przemożny wpływ na metysów (ludność tubylcza, mieszaan z białymi). Jasne jest, że zabił go agent partii konserwatywnej. Partia ta zyskiwała bowiem poprzez jego śmierć dwa osiągnięcia: usunięcie popularnego agitatora i spowodowanie zamieszek, które obecnie wykorzystane są w interesach panamerykańskiej krucjaty antykomunistycznej.

Wub. roku Stany Zjednoczone wystąpiły z propozycją (czytaj żądaniem) pod adresem Panamy, aby dla ochrony strefy kanałowej wybudować bazy morskie i lotnicze. Panama stanowczo odrzuciła te propozycje.

Obecnie, w związku ze wzmożoną propagandą antykomunistyczną, do której wypadki w Bogocie dały doskonały pretekst — Departament Stanu USA żąda, aby kanał panamski został zmilitaryzowany i strzeżony przez „siły obronne zjednoczonej półkuli". Wymaga tego niebezpieczeństwo, grożące Nowemu Kontynentowi ze strony „międzynarodowego komunizmu".

Można by podać wiele takich przykładów nacisku Stanów Zjednoczonych, które zadają całkowity kłam pięknym deklaracjom, wygłaszanym na konferencji panamerykańskiej w Bogocie.

Niemcy zachodnie w egzekutywie „Organizacji współpracy gospodarczej"

Na konferencji paryskiej przedstawiciele krajów marshallowskich podpisali konwencję, przewidującą utworzenie stałej organizacji współpracy gospodarczej" Na konferencji zaaprobowano propozycję objęcia Niemiec zachodnich planem Marshalla. Egzekutywa tej organizacji składać się będzie z 7 członków, a mianowicie z przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec zachodnich, Włoch, krajów skandynawskich, Beneluxu i jeszcze jednego kraju.

Konwencja zawiera szereg postanowień, dotyczących współpracy krajów marshallowskich. Jak wynika z treści konwencji projekty utworzenia unii celnej krajów marshallowskich — spaliły na panewce.

„Organizacja współpracy gospodarczej", powołana do życia przez przedstawicieli krajów marshallowskich, otrzymała rozmaite pełnomocnictwa, upoważniające ją do kontrolowania życia gospodarczego tych krajów. Organizacja ta będzie również utrzymywała ścisły kontakt z przedstawicielami rządu amerykańskiego, którzy będą regulować dostawy, płynące podczas realizowania planu Marshalla. „Organizacja współpracy gospodarczej" będzie miała prawo wykluczyć z udziału w planie Marshalla te kraje, które nie będą się stosować do jej zleceń.

Siedzibą organizacji będzie Paryż.

Jako przedstawiciel Bizonii przemówił gen. Robertson. Oświadczył on, że składa swój podpis w przekonaniu, iż dokument ten stanowi „historyczny krok naprzód" w dziedzinie wzajemnych stosunków między państwami marshallowskimi, łącznie z Niemcami. Mówił on z uznaniem o przyłączeniu Bizonii do „tego wielkiego planu europejskiej współpracy gospodarczej".

W piątek 16.IV rozpoczęła się pierwsza sesja plenarna stałej Rady „organizacji współpracy gospodarczej" krajów marshallowskich. Zebranie odbyło się przy drzwiach zamkniętych.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

Niemcy uciekają pod skrzydła Watykanu

„UNITA" dziennik włoski, donosi, że do Rzymu przybyli przedstawiciele kleru niemieckiego, aby otrzymać od Watykanu instrukcje na temat układu, zawartego ostatnio między USA a Watykanem. W układzie tym Departament Stanu USA zobowiązuje się udzielić poparcia klerowi katolickiemu na całym świecie wzamian za usługi, oddane przez Watykan w kampanii propagandowej przeciw demokracjom ludowym.

Pismo podaje, że rozmowy między Papieżem a kardynałami niemieckimi mają na celu znalezienie sposobu przekonania Francji o konieczności przyłączenia strefy francuskiej do Bizonii, celem utworzenia silnego bloku zachodnio-niemieckiego, skierowanego przeciw ZSRR.

Dziennik berliński „DER TAG" drukuje w związku z tym treść orędzia Papieża do biskupów niemieckich, w którym Papież Pius XII domaga się „puszczenia w niepamięć niemieckich przestępstw wojennych" oraz „udzielenia im pomocy w odbudowie ich ojczyzny".

Tajny układ hr. Sforzy

Dziennik francuski „CE SOIR" ogłasza rewelacyjną wiadomość, według której włoski minister spraw zagranicznych, Sforza podpisał tajny układ, zobowiązujący Włochy do przymierza z pięcioma państwami, należącymi do Bloku Zachodniego.

Demokratyczna prasa Włoch przedrukowuje tę wiadomość pod wielkimi tytułami.

Wizyta ambasadora USA

„OBRANA LIDU" organ armii czechosłowackiej, zamieszcza wiadomość o tym, że ambasador USA w Polsce Griffis zwiedził niedawno b. obóz śmierci w Majdanku. Na marginesie tej wiadomości dziennik przypomina, że „rodacy pana ambasadora, który zwiedza hitlerowskie obozy koncentracyjne i obozy śmierci z uśmiechem pełnym niedowierzania, kierują obecnie w Grecji zbrodniami monarchistów, nie ustępującymi częstokroć przestępstwom dokonanym przez hitlerowców".

Sytuacja przedwyborcza w USA

Dzienniki nowojorskie omawiają sytuację przedwyborczą w partii republikańskiej, podkreślając zgodnie sukcesy Stassena „NEW YORK TIMES" dodaje, że „zwycięstwa Stassena są równocześnie zwycięstwem internacjonalizmu w USA i tak powinny być interpretowane we wszystkich państwach, w których śledzi się z uwagą wszelkie wskazówki na temat możliwości zmian opinii amerykańskiej w roku wyborczym".

„NEW YORK HERALD TRIBUNE" zaznacza, że „Stassen stał się championem terenów rolniczych". Pismo zwraca również uwagę na możliwości Vanderberga, jako „pozycji kompromisowej na kongresie republikańskim w Filadelfii".

Wydawca: NKW PSL. Redaguje Kolegium Redakcyjne
Redakcja: Warszawa, Al. Jerozolimskie 51, pok. 207 i Al. Jerozolimskie 83, pokój 9, czynna codziennie od godz. 10 do 15. Administracja: Warszawa, Al. Jerozolimskie 83
Prenumerata miesięczna wynosi 20 zł. Prenum. zbiorowa (od 3-ch egz. wzwyż na jeden adres po zł. 15 mies. Cena pojedyńczego num. 5 zł.
Opłatę za prenumeratę należy przekazywać przekazem pocztowym pod adresem administracji
B-60008 Składano i drukowano w Spółdzielni Wydawniczej. „Chłopski Świat", Al. Jerozolimskie 83. Tel. 8.69.18.